

Stanisław WEGRZYŃOWSKI

/nagranie w 1989 r. przez Małgorzatę Giżejowską
w Sosnowcu/

IA

Urodziłem się 7 maja 1923 r. w Krakowie - w koszarach wojskowych. Ojciec mój był przed wojną oficerem. Brał udział w II-iej wojnie światowej, potem był w AK - w stopniu kapitana. Został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych. Zmarł w 1958 r. w Sosnowcu.

Matka moja - Emilia była nauczycielką, brała udział w Powstaniu Warszawskim. Zmarła w 1985 r.

Brat - dwa lata młodszy ode mnie - Jerzy - odznaczony Krzyżem Walecznych w AK, został aresztowany przez Niemców w 1944 r., zginął bez wieści, zginął w Gross Rosen.

Ja przyzwyczajony do wojska - w 1939 r. poszedłem z wojskiem na front. 11 września nasza dywizja została rozwiązana. Szliśmy na południe chcąc się dostać do granicy rumuńskiej. 17 września weszliśmy do Tarnopola - razem z bolszewikami, my - w nocy, oni - rano. 19 września zostaliśmy pod Stanisławowem wzięci do niewoli radzieckiej.

Okupacja radziecka była straszna. Widziałem sceny, jak czołgami wjeżdżali na ucikierów - traktując ich żywcem.

Nas zabrali do Stanisławowa /przez Brzeżany/, zaprowadzili na rynek, gdzie był szpital i w nim nas trzymali. Zamieniono nam nasze mundury na ubrania cywilne. Ja dostałem ubranko giannazjalne od jednego Żyda. Oni nam wtedy bardzo pomagali.

fo kilku dniach zaprowadzili nas na dworzec, mówiąc, że kto jest z terenów okupowanych przez Niemców, to może wrócić do GG, a reszta może tu zostać. Próbowaliśmy wydostać się na zachód pociągiem, ale powiedzieli, że biorą tylko wojskowych. Więc my znowu poprzebieraliśmy się w mundury, o które było łatwo. Dostaliśmy się do wagonów bydłowych, zabezpieczono je i ruszyliśmy.

Szybko zorientowaliśmy się, że jedziemy nie na zachód, ale w kierunku Tarnopola. 8 km przed Tarnopolem pociąg zatrzymał się. Kolejarze, którzy opukiwali koła rozbili podłogę w naszym wagonie i powiedzieli, że kto ma ochotę niech ucieka. Ja z ojcem i jeszcze jednym panem - uciekliśmy bo dobrze znaliśmy okolicę. Reszta została - wcale nie obawiali się, że bolszewicy mogą im zrobić jakąś krzywdę. Nie wiem gdzie ten transport pojechał - może do Ostaszkowa?

My dostaliśmy się do Tarnopola. Nasz dom przy ul. Sokoła 13^a już był zajęty przez bolszewików. Mama kazała nam natychmiast uciekać. Poszliśmy z ojcem w kierunku Lwowa. Za Tarnopolem dogonił nas młody człowiek z psem policyjnym i pyta w jakim kierunku idziemy. Mówimy, że w kierunku Lwowa. Pyta, czy może z nami iść, naturalnie zgodziliśmy się. Po drodze opowiedział nam, że jest to pies więzienny, a on sam wyostał się z więzienia w Tarnopolu, gdzie był fryzjerem i m.in. opiekował się psem. Pokazał nam dokumenty, więzienne ubranie i ~~przys~~^{do} ~~wiedział~~ ~~nie~~ ~~wiadział~~, że jest komunistą. Po pewnym czasie zorientował się, że ojciec jest oficerem i ~~nie~~ ~~wiadział~~ przyznał się, że komunistą nie jest. Naprawdę pochodził z Łoszi, pracował u fryzjera i był zwykłym złodziejaszkiem.

Do Lwowa dotarliśmy 22-go września i znowu byłem świadkiem wkroczenia bolszewików - tak jak w Stanisławowie i Tarnopolu. Zamieszkaliśmy z ojcem na ul. Grodeckiej u znajomych, którzy mieli fabrykę instrumentów muzycznych. Ojciec tam został, źle się czuł, a ja ruszyłem w kierunku granicy węgierskiej. Pojechałem znowu do Stanisławowa, stamtąd do Nadwórnej, dalej do Telatyna i Zielonej. Tam mi się jakoś udało i dojechałem do Worochty, dalej - do Woronienki, a stamtąd przez góry przeszedłem przez granicę. Tam zaraz złapali mnie strażnicy węgierscy, zaprowadzili do strażnicy, nakarmili, spisali i wysłali pociągiem do Uszgorodu. Tam był obóz dla polskich żołnierzy.

Stamtąd skierowano mnie do Budapesztu, gdzie było polskie liceum. - nad Balatonem. Znalazłem sobie kolegę z którym razem usiło-

waliśmy dostać się do Jugosławii, a stamtąd - do polskiej armii. Nie udało się, zostaliśmy złapani, odprawieni do Budapesztu - do twierdzy, w której był obóz dla niezdyscyplinowanych polskich oficerów. Wkrótce jednak nas wypuszczono.

Udałem się do polskiego poselstwa, gdzie spotkałem przyjaciela ojca - kpt. Domaradzkiego, Chciał mnie koniecznie skierować na dwa lata do szkoły. Ja się upierałem przy powrocie do wojska. Zaproponowali mi więc przeszkolenie żołnierskie, a potem wyjazd do Warszawy.

Po paronijnowym szkoleniu w listopadzie zostałem skierowany do Polski. Pierwszy raz przejeżdżałem wtedy przez Przelęcz Dukielską.

W Warszawie miałem zostawić daną mi paczkę na Żoliborzu - na ul. Mickiewicza. Stamtąd udałem się do kościoła na ul. Gdańską - po dokumenty. Z Warszawy zostałem skierowany przez ZWZ do Lwowa, stamtąd do Białegostoku i z powrotem do Lwowa. Przy okazji odwiedziłem kolegów w Tarnopolu. Był tam schowany przeze mnie i przybocznego hufca nasz sztandar harcerski. Wydostaliśmy go i oddaliśmy w ręce naszej koleżanki Nusi Szczyrskiej.

Rodzice byli wtedy w Warszawie.

lecie 40 r.

W ~~grudniu~~ wróciłem do Lwowa, ale na ul. Zadwórzeńskiej już był kocioł. Przy wyskakiwaniu z tramwaju zostałem aresztowany przez NKWD. Jako przyczynę zatrzymania mnie powiedzieli, że z tramwaju nie wolno wyskakiwać. Aresztowali mnie oczywiście w cywilu. Był to lipiec 1940 r.

W NKWD zrobili śledztwa i rewizję i następnego dnia odwieźli mnie łazikiem na dworzec i wsadzili do pociągu. Zauważyłem na nim tabliczki: Lwów - Kijów.

Siedziałem w pustym przedziale z dwoma strażnikami. Powiedzieli, że wiozą mnie do Kijowa do konserwatorium, bo dowiedzieli się, że gram na gitarze. Wysadzili mnie w Tarnopolu i zaprowadzili do więzienia na Mickiewicza. Tam mnie jednak nie przyjęto, bo nie było

odpowiednich dokumentów. Czekałem długo w dyżurce na przysłanie tych papierów. Okna dyżurki wychodziły na ul. Mickiewicza, którą świetnie znałem. Między mną a milicjantem pilnującym mnie milicjantem były drzwi. Przez okno zauważyłem dwoje młodych ludzi - na randce /Żydów/. Wziąłem jeden z niedopałków papierosa z popielniczki, napisałem na nim "Stach aresztowany" i adres Nusi Szczyrskiej i wyrzuciłem przez okno. Młodzi to podnieśli i zniknęli. Po pół godzinie pod więzieniem zatrzymała się Nusia z koleżankami. Szukałem momentu, żeby dopaść drzwi i uciec. W pewnym momencie milicjant podniósł słuchawkę i zaczął rozmawiać przez telefon. Skoczyłem do drzwi i wybiegłem na ulicę. Obiegnąłem do kościoła - ok. 100 m, ale zanim dobiegłem - zostałem schwytyany przez wartę. Po drodze spotkałem mego profesora - geografa - z gimnazjum. Zrozumiał sytuację.

Zostałem wprowadzony do dyżurki i zaraz potem do celi przerobionej z więziennej kaplicy - olbrzymiej, wysokiej. Było tam wielu więźniów - był to taki punkt rozdzielczy. Po kilku dniach porozdzielano nas po celach. Trafiałem do celi numer 14, w której siedział mój wówieśnik - syn gajowego spod Tarnopola - Kiwczarek. Poza nami był jeszcze siwy staruszek - generał armii hitlerowskiej, który wkrótce zmarł.

IB

W nocy odbywało się śledztwo, przedtem nie dawali spać. W czasie śledztwa byłem bity (po twarzy i po głowie.) Kilka dni siedziałem w izolatorze za używanie alfabetu więziennego i kontakt ze współwięźniami.

W Tarnopolu odbył się sąd przy Vi Armii Kijowskiej Wojsk Kawalerijskich NKWD / drugi lub czternasty/. Skazano mnie z § 58 , p.6 cz.I - na 10 lat łagrów i 5 lat pozbawienia praw ob. Zaznaczono, że tylko dlatego wyrok jest tak niski, bo jestem niepełnoletni, bo oskarżono mnie o szpiegostwo. Po odczytaniu wyroku ktoś z Trójki zapytał mnie co mam do powiedzenia. Spytałem, kto tyle lat będzie w stanie siedzieć - odpowiedzieli z uśmiechem: "żyć będziesz, odsiedzisz wyrok, tylko nie będziesz się za dziewczynami oglądał". Miałem wtedy 17 lat.....

Wyprowadzili mnie do dużej ogólnej celi. Po kilku dniach przynieśli wyrok na papierze. W więzieniu był zwyczaj, że ^Wten wyrok owijało się machorkę i "wypalało wyrok" - jako papierosa.

Siedziałem w tej celi dość długo, było bardzo tłoczno i spało się na gołym betonie.

Pewnego dnia zaczął się ruch - szykowano nas do transportu. Przyszedł naczelnik i powiedział, że jak kto nie ma odpowiedniej odzieży to ma prawo napisać i prosić o nią znajomych. Ja mieszkałem na Sokoła 13^a - w prywatnym żydowskim domu. Obok nas mieszkał inż. Smietanko i do niego napisałem. Nie chodziło mi o odzież, tylko o zawiadomienie przez niego mojej rodziny. Trzeba było pisać po ukraińsku i któryś ze współwięźniów napisał w moim imieniu do tego inżyniera i wymienił ubranie, o które proszę. Po kilku dniach przyszedł naczelnik, popatrzył na moje ubranie, które dostałem od współwięźniów, dał mi czapkę - Budionówkę", fufajkę, spodnie, onuce, buty gumowe - wszystko "kazienne".

W sylwestra 1940 r. - ruch. Wywołują po nazwiskach, wyprowadzają na plac, ładują do samochodów. Jedziemy przez Tarnopol. Przywieźli na dworzec i załadowali do bydłych wagonów. Tarnopolanie dowiedzieli się o tym transporcie i zebrali się przed dworcem na wiadukcie. Bolszewicy ich rozpędzali, ale i tak ludzie zdołali podać adresy, informacje...

Po pewnym czasie ruszamy. Dokąd - nikt nie wie. Mieli nas wyładować w Charkowie, ale Charków nas nie przyjął. W drodze dawali nam od czasu do czasu worek sucharów i śledzie. Z wodą była tragedia, więc lizano się oszronione sztaby i kraty w oknach.

W końcu wyładowali nas w Dniepropietrowsku. Wyglądaliśmy okropnie /pewno jak niemieccy jeńcy później/: poowijani szmatami, pokuleni, a obok nas żołnierze z karabinami, z psami, na koniach.

Z dworca do więzienia droga prowadziła pod górkę i z góry było widać ten transport - ponad 1000 ludzi.

Więzienie wyglądało jak duże osiedle - mnóstwo okratowanych budynków - były to dawne koszary. Porozdzielali nas na grupy i jeszcze na korytarzu dali gorącą zupę. Później była łaźnia. Przed kąpielą golono nas: górną część ciała strzygli mężczyźni, dolną - kobiety rozgniżowane, w fartuchach, siedziały sobie na taboretach i goliły nas. Były to błatniaczki. Ja się spodziewałem różnego rodzaju katorgi, ale nie tego - to było bardzo upokarzające, zwłaszcza, że one robiły to z jakąś sytysfakcją, z uśmiechem.

Z Dniepropietrowska wywieźli nas do Suzrania. Tam więzienie było otoczone ostrokołami jak w średniowieczu. Z Suzrania jechaliśmy przez Ural - byłem zachwycony. Zawsze lubiłem podróże i może dlatego przeżyłem. Nigdy się nie martwiłem i czekałem, kiedy mnie jeszcze dalej zawiozą. Nigdy nie rozpaczalem i raczej ze wszystkiego się śmiałem.

Wyładowano nas w Nowosybirsku - więzienie drewniane i plaga pluskiew. Stamtąd transport koleją do Irkucka. Piękna droga - Bajkał, tunele. Nie zapomnę momentu jak wjeżdżaliśmy do Irkucka i z góry było widać rzekę o kryształowej wodzie - nam z pragnienia bebechy wywracało, a tu widzimy kryształową wodę! Przez okna w wagonie widzieliśmy w Irkucku pochód 1-majowy /41 r./

W Irkucku w więzieniu dostałem się do niewielkiej celi z kilkoma osobami, w tym dwóch Japończyków. Bardzo szybko skontaktowałem się z nimi - na migi. Myślałem wtedy, że może tam uda się jakoś urwać do Japonii. Nauczyłem się od nich dwóch zdań po japońsku, które pamiętam do dziś. Nauczyłem tych zdań mego 9-letniego wnuka.

Po kilku dniach zawieźli nas do Buchty Nachodka. Nie było tam dworca kolejowego, stanęliśmy na boczniczy kolejowej pod samym zadrutowanym obozem. Tam nas wyładowali. Była słoneczna pogoda. Witła nas orkiestra więzienna. Później jak oglądałem filmy o Oświęcimiu, to przypominałem sobie nas w Nachodce, więzienie i tę orkiestrę - zupełnie to samo.

W obozie przejściowym w Nachodce jedzenie było zupełnie inne - a może tak nam się wydawało, bo byliśmy bardzo wygłodzeni. Dawali nam bardzo smaczną zupę rybną /uchę/ - i dużo jej dawali. Pracowaliśmy w lesie - przy wrębie drzew. A w wolne godziny na plażę i nawet czasami pozwalali nam się wykąpać.

Pewnego dnia zauważyliśmy stojący na wybrzeżu statek "Mińsk". Na brzegu zrobiono trap i więźniowie wnosili po nim na statek belki i deski. Robiono z nich w ładowniach prycze.

Po kilku dniach wezwano nas "s wieszczami" i załadowano na ten statek. W środku były olbrzymie ładownie z 4-ro czy 5-cio piętrowymi narami. W trakcie podróży ludzie zaczęli chorować na morską chorobę - było to coś okropnego. Z tych kilku pięter ludzie wymiotowali na leżących niżej. Ja osobiście nie chorowałem, ale moi współtowarzysze byli w strasznym stanie. Nawet nie chodzili po balandę. Przy samym wejściu do ładowni stały dwie identyczne beczki - w jednej dawano zupę, a druga służyła za paraszę. ^Uomylić się było bardzo łatwo. Przejeżdżaliśmy bardzo blisko Wysp Japońskich i w tym czasie ładownie zakryto plandekami i nie wypuszczano nas na pokład.

Za statkiem płynęły rekiny. Jeden z więźniów rzucił się do morza i natychmiast rekiny go rozszarpały.

Po kilku dniach / 7 czy 8/ przypłynęliśmy do Magadanu. Była noc, ale widno, bo trwała polarna ^{lato} ~~zima~~. Magadan - było to w mojej pamięci nieduże osiedle, pamiętam tylko łaźnię i wybrzeże. Po łaźni swoich ubrań już nie dostaliśmy tylko więzienne ubrania - wszyscy jednakowo: spodnie, buty, bluzy, czapki - wszystko letnie.

Wyprowadzono nas na duży, nieogrodzony plac, pilnowany tylko przez konwój. Tam dano nam keść - zupę na miednicy, rodzaju tacy, do której przydzielono po 6 osób. Łyżek nie było.

Potem załadowano nas na obudowane samochody. Wieźli nas, chyba kilka dni, do Jagodnego. Tam dowiedzieliśmy się, że wybuchła wojna niemiecko-radziecka.

II taśma

Wiadomość o tej wojnie przyjęliśmy z entuzjazmem, mając nadzieję, że nas zwolnią, albo jakoś inaczej się wydostaniemy.

Kilka kilometrów za Jagodnem wyladowali nas w tajdze i stamtąd piechotą popędzili do Susumanu. Było to wówczas niewielkie osiedle z drewnianymi barakami i dwoma obozami, m.in. KOŁP /męski obóz przesyłkowy/. Zaprowadzili nas tam i trzymali kilka dni.

Jeszcze w Nachodce i w Magadanie badała nas komisja lekarska, która kierowała do różnych robót. Ja zostałem skierowany do przyiska Czau-bania /8 km od Susumanu/ - była to odkrywkowa kopalnia złota. Znaczyło to, że uznano mnie za zdrowego - z I kategori- zdrowia.

W kopalni były płuczki mechaniczne z doprowadzeniem wody z góry &prom-pribor/. Oddzielenie złota od pisaku czy gliny odbywało się za pomocą silnego strumienia wody. Złoto zostawało w korycie na dnie, zbierano je do wiader i gdzieś odstawiano. Ja się dostałem do wożenia urobku taczkami. Można było samemu ładować i wozić, można było też dobrać sobie kogoś do ładowania, Wyznaczona była norma, od której zależna była ilość chleba. Średnia pajaka wynosiła 600 g, najwyższa - 1100 g. Za dowiezienie 14 taczek na odległość 80m dostawiało się machorkę na jeden skręt. Ja przedtem nie paliłem, ale od Irkucka zacząłem palić z grodu, dlatego często starałem się te dodatkowe taczki wozić, żeby zarobić na machorkę.

Więźniowie - rosyjscy kryminaliści mogli nie pracować, zawsze byli uprzywilejowani przez władze obozowe. Życie z kryminalistami było bardzo ciężkie. W Irkucku, kiedy nas wieźli z dworca do więzienia, wsadzili mnie do kibitki z kobietami /przypadkiem/. Całe szczęście, że mnie konwojent stamtąd wydostał, bo by mnie chyba rozszarpały. Te kobiety-błatniaczki po prostu rzucały się na mężczyzn.

W Kopalni Czau-bania ładowanie taczek szło mi ciężko. Skontaktowałem się więc z dwoma starszymi panami i umówiliśmy się, że oni będą ładować taczki, a ja je je jaknajszybciej będę odwoził, żeby

zarobić na tę machorkę. ^Fewnego dnia upadłem - zemdlałem /chyba jedyny raz w życiu/. Zniesiono mnie do lazaretu. Był tam młody wysoki lekarz - wolny. o nazwisku Lawin. On się mną zaopiekował. Na drugi dzień poprosił swoją żonę, żeby mi podała lekarstwo. Na butelkach były napisy łacińskie, ona nie mogła tego zrozumieć, ja zerknąłem i przeczytałem. Ucieszyła się, że ja czytam po łacinie i powiedziała, że będę jej pomagał. Trwało to kilka dni. Głodu wtedy nie miałem, ale władze szybko się zorientowały i wysłały mnie do odpowiedniej brygady. Ale jeszcze w szpitalu dr Lawin przyniósł mi wycinek z gazety, w którym była mowa o amnestii dla wszystkich polskich obywateli znajdujących się na terenie ZSRR. Za kilka dni do obozu przychodzi narząd-czyk: "Węgrzynowski, sobiratsia s wieszczami".

Było nas dwóch czy trzech Polaków /nazwisk nie pamiętam/. Zaprowadzili nas znowu do Susumanu do obozu przesylnego, umieścili w odizolowanym baraku, nie posyłali do roboty. Dostawaliśmy wyżywienie lepsze niż inni. Dowiedzieliśmy się, że czekamy na komisję polską, która ma nas skierować do polskiego wojska. Wielka radość.

Z naszego baraku rzeczywiście kilku pojechało - Białorusinów, Ukraińców, Żydów - obywateli polskich. Po pewnym czasie dopiero zorientowaliśmy się, że tamci już odjechali i że my już nie pojedziemy. Któregoś dnia wchodzi jakiś lejtnant i pyta kto umie pływać. Ja się zgłosiłem. Powiedział, że bierze mnie na "leso-splaw" po rzece Czau-bania. W Susumanie budowali łaźnię i potrzebne było drewno, ścinane w tajdze. 15 km od Susumanu. Oficer wziął konia, worki z żywnością, grupkę więźniów i ruszyliśmy. Drewno było na brzegu i myśmy długimi bosakami spychali je do wody, a potem pilnowaliśmy, żeby płynęło. Praca była przyjemna, nawet atrakcyjna. Zaskoczyła mnie przyroda: na brzegu rosły krzaki porzeczek z białymi i czerwonymi owocami o wielkości winogron. Objadaliśmy się nimi. Lejtnant był bardzo życzliwy - sawał nam dobrze jeść.

Po powrocie do Susumanu zawieźli nas do obozu. Tostałem skierowany na budowę drogi między Susumanem a Bolszewikiem - na południowy wschód - 8 km od Susumanu. Praca nie była bardzo ciężka.

Zaczęła się zima. Dostaliśmy zimowe ubrania. W tym czasie w Susumanie zaczęli budować lotnisko. I z tej "dorożnej" zaprowadzili nas do innego obozu w Susumanie i stamtąd prowadzili codziennie na budowę lotniska.

Zima 1941/42 była ciężka. Na własne oczy widziałem -72° na termometrze, a przeciętna temperatura wynosiła -50° . W mojej pamięci zostały sylwetki więźniów opartych o kilofy i padających na stojąco - z zimna i z głodu. Nie miał kto nosić ich do obozu - wracali tylko ci, którzy mogli iść o własnych siłach. Ci, którzy upadli już się nie podnosili.....

Między obozem "Mespro" a sopką "Marżot" wykopano dół, do którego wrzucano zmarłych. Nawet się nie fatygowano, żeby ich zasypywać, bo zwierzyna nie podchodziła do tych trupów. Zasypywano ciała dopiero na wiosnę i to nie wszędzie. Zmarłym przywiązywano do ręki "birkę" i na udzie pisano fioletowym ołówkiem numer ewidencyjny.

Po zakończeniu budowy lotniska zostawili nas jeszcze w tym obozie. Mieszkaliśmy w drewnianych barakach z oknami często nie oszkłonymi, tylko zasłoniętymi jakimś materiałem. Na środku stał piec-beczka, po bokach trzypiętrowe nary.

Pracowaliśmy jakiegó czas w obozie - przy robotach stolarskich. Potem zabrali mnie na pryisk "Maldiak" - między Bolszewikiem a Susumanem. Pracowałem tam przy kopaniu stybów /szurfów?/ o głębokości 4-5metrów. Wierciło się 3 dziury, wsadzało dynamit i wysadzało zmarznięty grunt. Strzałowym był zawsze wolny, bo więźniowie często robili samookaleczenia znalezionymi spłonkami - wrywali sobie rękę czy nogę. Byli to przeważnie kryminalni. Ale potem i tak wykorzystywano ich do jakiejś roboty.

Strzałowy przynosił dynamit, sam ładował spłonki, ale odpalać

już myśmy musieli, bo on sam nie zdązał. A było to niebezpieczne. Dobrze, jakszurf miał 2-4 metry, bo z takiej głębokości łatwo było wyjść, ale czasem były szurfy 8-10-cio metrowe, więc wycieńczony więzień często nie był w stanie się wydrapać na powierzchnię. A musiał tam zejść, bo jakby odmówił, to dostawał takie bicie od brygadzysty, że ledwo żył. Były więc wypadki, że razem z urobkiem wylatywały kawałki ciała ludzkiego.

Kilkakrotnie pracowałem w kopalni pod ziemią. Były one płytkie 12-14 metrów, nie zabezpieczone. Pułap nigdy nie był wzmocniony - ze względów oszczędnościowych. Człowiek pracował w pozycji schylonej, bo chodniki były bardzo niskie. Elektryczności nie było. Oświetlało się lampkami: były to puszki po konserwach, do których wkładało się szmaty lub watę z fufajek i zalewało ropą.

II B

Ale to się tak kopciło, że z odległości 3-4 metrów nic nie było widać. Jak się wychodziło z kopalni, to widać było tylko gałki oczne, a cały człowiek był czarny, zykopcony. A w tym samym ubraniu pracowało się, spało i chodziło - dopóki nie zleciało z ciała.

W tych kopalniach głębinowych też wysadzało się skałę ze złotem. Robili to specjaliści wiertacze /"burylszczycy"/, którzy wiercili dziurę w skałę, a potem strzałowi odstrzelili skałę dynamitem. To była też straszna praca i bardzo niebezpieczna: lont palił się 1cm/sek.. Tam odstrzelili tylko wolni albo żołnierze. Więźniów nie dopuszczano do dynamitu.

W 1951 czy 52 r. w kopalni "Bieliczan" zdarzył się taki wypadek: jeden Rosjanin, już wolny, który był kiedyś strzałowym, podpadł za coś władzy i powiedziano mu, że wróci do obozu. Któregoś dnia widzę, że na stołówce dla władzy i wolnych /długi barak do 15 m/ podnosi się dach i opada z powrotem. I unosi się dym. Od razu straż obozowa okrążyła ten barak nie dopuszczając nikogo. W stołówce tej było kilku oficerów - trupów, kilku ciężko poparzonych, a kilku uszło bez

szwanku. Szukają winnego. Po pewnym czasie znajdują prawie zwęglone zwłoki tego Rosjanina. Obładował się on cały dynamitem - za pazuchą, do kieszeni - spłonki, omotał sobie szyję kablem, wszedł do baraku w czasie posiłku, zapalił lont od papierosa i wysadził barak w powietrze.... Nie chciał wrócić do obozu....

Urobek po wysadzeniu wyciągało się tzw. lebiódkami - wyciągarkami na linie i na kołowrocie. Górnicy musieli schodzić po schodach - do 30 m, tylko te wyciągarki były na linie.

Praca trwała 12-14 godzin Trzeba było wydobyć wysadzony urobek. Jak się nie zdążyło, to zostawało się dłużej. Ale najgorzej było konwojentom, bo oni musieli na powierzchni, na dużym mrozie cały ~~xxx~~ czas na nas czekać. Nie mogli nawet wejść do budki, gdzie była wyciągarka i piec - bo tam pracował więzień. i było niebezpiecznie. Konwojenci to było regularne wojsko - oddziały NKWD i wśród nich spotykało się wielu mylicznych ludzi, często dawali pociągnąć paierosa. Oni czekając na nas byli tak zmarznięci, że w drodze powrotnej często wygrzmocili pierwszą trójkę czy piątkę - żeby na drugi raz tak długo się nie pracowało.

Już jako wolny pracowałem kiedyś na spychaczu w Czau-banie. W zimie, jak była temperatura poniżej -50 st, a chcieli, żeby spycharki dawały jak największy efekt, to nam - operatorom na spycharkach - dawali spirytus. Latał taki "garniak" /sztygar/ i nalewał ten spirytus z czajnika - temu, kto tmarzył. Zagryzło się to śniegiem i dalej do pracy. Tam wódki nie było, tylko czysty spirytus, który w beczkach fabrycznych przywozili statkiem. Ponieważ pochodziłem z rodziny wojskowej, więc strasznie mi się chciało strzelić kiedyś z tego ich karabinu. Poprosiłem jednego konwojenta: "słuchaj, jak ty mi dasz strzelić z karabinu, to ja ci dam setkę" /a konwojenci spirytusu nie dostawali/. Dał mi karabin, strzeliłem sobie i miałem satysfakcję.

Wśród władz obozowych również byli różni ludzie - tacy, którzy starali się nad nami nie znęcać i tacy, którzy dokuczali na każdym kroku. O Garaninie krążyły legendy, ale on był przed moim przybyciem na Kołymę.

Kiedy jeszcze pracowałem w tych głębokich szurfach geologicznych, to po odpaleniu ładunku wytwarzały się tam trujące gazy. Było to w Bieliczanie. Po odpaleniu ładunku do jednego z szurfów opuścił się jeden z więźniów, żeby wydobyć urobek. Ponieważ szurfy były głębokie, więc jeden drugiego opuszczał. Po pewnym czasie ten, który był na górze krzyczy do kolegi, żeby ten szybko wyszedł i czy ma go już wyciągnąć. A ten się nie odzywa. Wzywali sztygara. Ten kazał wejść drugiemu, ale już go asekurował. Ten drugi też się długo nie odzywał, więc go wyciągnęli. Ale już nie żył. - zatruty gazem. Pytają o ochotnika, który by zszedł do szurfu i wyciągnął pierwszego więźnia - też pewnie nieżywego. Zgłosił się Edek Blum - Żyd z Warszawy. Zszedł w dół, związał tamtego liną, wyciągnęli go, ale tymczasem Blum już nie żył. Pozwolili mi go odwiedzić w trupiarni. Był zupełnie goły, bo tam zmarłych nie ubierano. I tam się z nim pożegnałem. Spotykałem się z Blumem przedtem. Zawsze potrafił gdzieś wykombinować cukier, przychodził do mnie i dawał trochę cukru w kostkach.

W czasie pracy w kopalniach złota parę razy dochodziłem do etapu dochodziagi. Co prawda bardzo szybko się regenerowałem - wystarczyło zjeść trochę więcej zupy i chleba i siły wracały. Ale inni po kilka miesięcy przychodzili do siebie.

Kiedyś z kopalni złota wysłali grupę więźniów na "lesozagorowkę". Było to kilka kilometrów od obozu. W małym baraczkach mieszkało kilku więźniów. Każdy musiał ściąć i ułożyć w pryzmę określoną ilość drewna. Dopiero po wykonaniu pełnej normy można było wrócić do obozu. Trwało to kilka dni. Jak się wracało z lasu, to walonki i waciaki wieszano nad piecem, a spaliśmy przykryci fufajką, ^{a)} (żeby nogi nie zmarzły, to spodnie spuszczało się do pępka i nogawki zawiązywa-

ło wokół stóp. Pewnego dnia wstajemy, a tu nie ma ani jednej pary walo lonek. Jeden z naszych kolegów w nocy wsadził je wszystkie do pieca i spalił, żebyśmy nie musieli chodzić do pracy. Oczywiście nie wydaliś my tego, który to zrobił. Przyjechał konwój, ale nic nam nie mogli zrobić, tylko przywieźć nowe walonki. Czasem, jak trzeba było jechać do lasu 12-13 km, a przydzielali na dwóch piłę i topór, to kładli piłę na pieńku, toporem walił w piłę, ta pękała, a on sobie leżał i śpiewał bo nie ma czym robić. Tak robili przeważnie błatni.

Kiedyś, gdy byłem dochoduagą, to wysłali nas na jagody. Dawali nam wiadro - 15 litrowe i dopiero jak się je całe nazbierało, to można było wrócić do obozu. Raz powiedziałem, że zgubiłem wiadro w lesie i przyniosłem tylko menażkę jagód. Jakoś się udało, ale tylko raz. W zimie dochodiagi posyłano po drewno, po śnieg itp.

Na Dzingale był obóz karny. Ja się tam dostałem po historii z kultbrygadą. W szkole w Tarnopolu uczyłem się w szkole muzycznej gry na wiolonczeli /grałem w orkiestrze gimnazjalnej/, więc wykorzystano to na Kołymie i wzięto do orkiestry obozowej - na Bolszewiku. /w 43 r Był to przypadek. Do obozu przyjechała kultbrygada. Zobaczyłem wiolone czelę, przyglądałem się jej. Podchodzi do mnie jeden z tych artystów, zaczyna mnie wypytywać. Powiedziałem, że kiedyś grałem. Zaproponował, żebym spróbował teraz /potem okazało się, że był to 1-szy skrzypek Filharmonii Moskiewskiej/. Wystawiłem swoje ręce - brudne, z odciskami i mówię, że chyba te ręce do wiolonczeli się nie nadają. Odpowiedział, że on się i tak pozna. Usiadłem więc, wziąłem wiolonczelę, smyczek, zagrałem jakąś palcówkę i zapisali mnie do tej kultbrygady. Narazie na tym się skończyło i nawet o tym fakcie zapomniałem. Minęło kilka lat. Był rok 1946. Przybiega nariadczyk i każe mi się zbierać "s wieszczami na wartę. Wiadomo, że szykuje się zmiana miejsca pobytu. Dowiaduję się że jadę do Susumanu do KOŁP-u. Ucieszyłem się, bo myślałem, że biorą mnie do wojska i wyślą do Polski.

W Susumanie zaprowadzili mnie do naczelnika KWCz, który kazał doprowadzić mnie do kultbrygady. Zmartwiłem się, bo to znaczyło, że nie amnestia, nie do Polski....

W baraku kultbrygady był tylko dniewalnyj. Ten zaprowadził mnie do łaźni, dał ~~nową~~ bieliznę i ubranie - jak dla wszystkich z kultbrygady - z demobilu wojskowego, nie nowe, ale czyściutkie, wyprane. W baraku każdy ma pojedynczą kojkę, siennik, koce, prześcieradła i poduszkę.

Potem zaprowadził mnie do "chleborezki i dał ze 2 bochenki chleba. W kuchni do jednego wiadra nalał zupy, do drugiego - kaszy, postawił przede mną - "no to kuszaj". A moim marzeniem przez lata było, żeby mieć dla siebie cały bochenek chleba, a tu tyle tego! Nalałem sobie zupy do miski aluminiowej - z 1,5 czerpaka, ukrajałem ze dwie kromki chleby, potem zjadłem trochę kaszy - i koniec. -] Tylko dlatego przeżyłem, że nie byłem łakomy. Ci ludzie, którzy byli łakomi, to na moich oczach umierali. Czasem dawali nam tzw. dług chleba - zaległe porcje /bo często przez kilka dni chleba nie dostawaliśmy, zwłaszcza w zimie/ Władze musiały ten chleb oddać ludziom, żeby się rozliczyć. Ludzie od razu cały ten chleb zjadali, chorwali i umierali. Kiedyś na Bieliczanie ludzie nie chcieli iść do pracy, bo już nie mieli sił z głodu. Pędzili nas, krzycząc, że musimy iść, bo inaczej chleba nie dostaniemy, a właśnie mąkę przywieźli i pieką chleb. A piekarnia była obok. Więc ludzie powlekli się do pracy. Tymczasem w piekarni wrzucili do pieca stare fufajki, żeby było widać dym - znak, że niby chleb się piecze. Ludzie to widzieli i czekali na swoją pajkę. Potem ktoś nam powiedział "wy, duraki, poszliście do pracy, a chleba nie ma".....

III A /listopad 1989 r./

Uzupełnienie: lata 1942/43. Kopalnia Bolszewik k/Susumanu - kopalnia złota. Tam byłem w obozie i w pracy sam jeden - nie było żadnego Polaka. Zacząłem się bać, że w ogóle przestanę mówić po polsku. Po powrocie z roboty, jak już człowiek znalazł sobie miejsce na narach, to przed snem sam ze sobą rozmawiałem, powtarzając polskie nazwy: to jest

sufit, to jest podłoga, to są ściany itd. Odmawiałem różne modlitwy, dzięki temu do dziś pamiętam całą litanię do Matki Boskiej, bo często ją powtarzałem. Powtarzałem też wiersze znane ze szkoły, np. przy "Alpuharze" dobrze się chodziło.

Jak się wracało z roboty, to człowiek nie miał siły, żeby się umyć. Zjadało się zupę /pajkę dawali rano i od razu się ją zjadało/ i szukało się od razu jakiegoś przyzwoitego, tzn. cieplejszego miejsca na narach. Piec palił się do czerwoności, ale już na ścianach był szron i przymarzało się do nich. Więc jak się położyłem, to zmuszałem się do powtarzania sobie tych polskich słów. Zdarzało się, że już zapomniałem nazw polskich niektórych przedmiotów. Po paru latach niektórzy już zupełnie nie mówili po polsku. W obozach, w których byłem, rzadko spotykało się Polaka.

W Bolszewiku, doprowadzony zupełnie do depresji, starałem się dostać do jakichś władz, żeby dojechać do armii polskiej, o której wtedy dużo się słyszało. Władze obozowe zawsze mi odpowiadały: "po to cię przywieźli, żebyś złoto kopał". Postanowiłem uciekać, chociaż wiedziałem, że to się na nic nie zda. Wykorzystałem moment, w którym jako dochodiaga nosiłem kilofy i łomy do naprawy do kuźni. Obok kuźni stał jakiś samochód, wskoczyłem do niego - aby się dostać do innego obozu, do innych władz. Nie zauważyli mnie, samochód ruszył i znalazłem się w Jagodnem. Zgłosiłem się sam do obozu. Tam potraktowali mnie jako "bieżeńca" /uciekinięra/ i zostałem po paru dniach osądzony przez Wojenny Trybunał 14-ej Armii Chabarowskię Wojsk Lotniczych. I znowu dostałem 10 lat ITL i 5 lat p.p.ob. Stamtąd zostałem skierowany do najcięższego obozu katorżnego - Dżyngala. Położony był na sopce, otoczony podwójnym drutem. Dyscyplina dużo ostrzejsza niż w normalnym obozie. Usadzili mnie najpierw w baraku dla dochodiagów. Tam szybko wróciłem do sił i zacząłem pracować w kopalni. Wyprowadzanie brygady do kopalni wyglądało następująco: pobudka na dzwonek, śniadanie, potem brygadami /było

ich kilkanaście/ wychodziło się do wartowni. Najpierw był normalny "rozwód", potem "dowód dla tych, którzy się spóźnili, bo byli u lekarza poszli po rękawiczki itp. A potem był jeszcze "dowóz". Byli ludzie, którzy się chowali przed robotą. Pewnego dnia spadłem z nar i tak sobie nogę zwichnąłem, że nie mogłem chodzić. Po ostatnim dzwonku, po "dowodzie" konwojenci z psami chodzili po barakach i szukali ukrywających się. Ponieważ nie mogłem dojść do wartowni z tą bolącą nogą - zobaczyli mnie. Wzięli mnie za ręce i zaciągnęli na wartownię. A tam było już paru, którzy nie chcieli iść do roboty. Na wartowni stały sanie, na które ładowane tych "odchaszczików". Załadowali nas na te sanie, związali i spuścili z góry /z sopki, na której stał obóz/. Sanie automatycznie się "rozładowały", na dole stał konwój i brał do roboty "Odchaszczików". Ja nie mogłem się podnieść, więc konwojent zwołał starostę obozu. Ten kazał mi wracać do obozu, ale nie mogłem iść. Więć starosta zawiązał mi pasek na szyję i zaczął ciągnąć do góry. Dociągnął mnie do połowy góry - to jeszcze pamiętam, ale drugiej połowy drogi - już nie, bo straciłem przytomność. Przyciągnęli mnie do wartowni, a stamtąd do izolatora. Był to barak poza ogrodzeniem z przegrodzoną celą i korytarzykiem. W korytarzu stał piec, w którym wartownicy od czasu do czasu palili. Jak się trafiło na możliwego wartownika, to otworzył drzwi do celi i kazał samemu podkładać do pieca. Co dwa dni dostawało się czerpak zupy i 200 g chleba. I tak przesiedziałem ze ~~cz~~ cztery dni. Potem dali mi lekarza. Ten stwierdził, że rzeczywiście nie nadaję się do pracy i zabrano mnie do saneczki.

Pokilku dniach mogłem już chodzić, ale dalej symulowałem ból i to dość długo mi się udawało. Dostawaliśmy tylko po 200g chleba, ale do roboty się nie chodziło. W saneczki, podobnie jak w całym obozie, były straszne pluskwy. Żeby je wytępić, to dawali nam za pudełko od zapalek złapanych pluskw - machorkę na skręta. I to było całe zajęcie w saneczki.

W Dzingale było ok. 500 więźniów. W obozach wokół kopalni było mniej więźniów niż w innych, bo tam brano tylko tylu ilu potrzeba było do obsługi kopalni. Zależało to od ilości szybów.

W tym katorżnym obozie władze stworzyły dużo lepsze warunki dla więźniów-kryminalistów - oni nawet pilnowali nas przy pracy sami prawie nic nie robiąc. Po pewnym czasie kryminalni tak opanowali te obozy, że stali się niebezpieczni nawet dla władz. I ci zaczęli szczuć jednych na drugich: tak powstały różne grupy worów, suki itp. Te grupy zaczęły między sobą wojować. Byłem świadkiem wykonania "wyroku" na dniewalnym /nazywał się Szewczenko/, który był wysokiej rangi złodziejem. Ale podpadł innym. Pewnego dnia złodzieje kazali nam powłażyć na nary, a sami urządzili "trybunał" i sądzili tego Szewczenkę /miał chyba ok. 50 lat/. Dostał wyrok śmierci. Miał prawo dowołania w czasie jednej doby. Po tej dobie znowu nas - "frajerów" wyginili na nary, czterech podeszło do Szewczenki, dwóch podtrzymywało mu głowę, a tych czterech podnosiło go na wysokość nar /ok. 1 metra/ i rzucało nim o podłogę, po to żeby mu poodbijać nerki. Jednocześnie uważali, żeby mu nierozbić głowy - aby przedwcześnie nie umarł. I ten dopiero po paru dniach zmarł. Podobny wypadek był ze starostą, który im się jakoś sprzeniewierzył i dali mu wyrok. On o tym nie wiedział. W momencie, kiedy wszedł do baraku któryś ze złodziei polanem uderzył go w głowę i zabił na miejscu. Zgłosili, że starosta zabity. Wpadła "ochra", wygonili nas wszystkich na dwór. m róz był chyba poniżej 50 st ale trzymali nas niedługo, choć wystarczająco bym odmroził sobie palce u nóg - amputowali mi je potem.

Trzeci taki wypadek był na "Prom-priborze" - latem, kiedy pracowaliśmy przy płukaniu złota. Nie było prawie żadnej przerwy w pracy, bo płuczka musiała chodzić całą dobę. Przerwywano pracę tylko dwa razy na dobę - na pół godziny. Wtedy zdejmowali chodniki w korytach, zbierali złoto, kładli nowe maty. Wody nie zatrzymywano. Kiedyś przynieśli nam obiad. Najpierw oczywiście zjedli złodzieje, potem resztki - my, a w międzyczasie jednego kiryminalnego zabili kilofem. Ochra tylko spisała dane, zabrała zabitego i na tym się skończyło.

W zimie wydobywaliśmy złotonośne piaski na powierzchnię z szybów. Wyciągało się urobek i usypywało hałdy. W lecie, jak słońce przygrzało

to piaski rozmarzały i potem się je płukało. W pierwszych latach robiło się to ręcznie, dopiero w latach 1945-46 przysłali mechaniczne płuczki i zelektryfikowali kopalnie.

W Diewiernom Uprawlenij byłem w Dzingała /obóz katorżny/ - w rejonie Kagodnego - 2,5 roku. Po zakończeniu wojny, w 1945 r. obóz ten zlikwidowano.

Stamtąd z powrotem przenieśli mnie do zachodniego zarządu /zapadnoje Uprawlenije/ - do Bieliczana. Tam w 45 r. spotkałem tę kultbrygadę.

Członkowie kultbrygady przyjęli mnie bardzo serdecznie. Kierownikiem był ten poznany już przeze mnie 1-szy skrzypek Filharmonii Moskiewskiej. Był tam aktor filmowy z Odessy, śpiewak - Borys Moskwa i wielu innych zdolnych, kulturalnych, inteligentnych ludzi. Starali mi się pomóc jak mogli. Na początku kierownik wypisywał mi lżejsze partie, żebym mógł wrócić do formy. A nie było to proste przerzucić się od taczek do gry na wiolonczeli.

Po przygotowaniu nowego programu musiały go obejrzeć nie tylko władze obozowe, ale władze całego uprawlenija /zarządu/. Była to oficjalna cenzura - całe kolegium: polityczni KWCz i paru innych. Szło się na wolny posiołek do Susumanu, był tam prowizoryczny teatr i tam nas przesłuchiowano. Po przygotowaniu i zatwierdzeniu programu zaczęliśmy jeździć do obozów z występami.

W każdym obozie, w którym pierwszy raz występowaliśmy zawsze pytałem o Polaków. W niektórych obozach w ogóle ich nie było /jeździliśmy tylko po obozach zachodniego zarządu/.

Któregoś dnia dostajemy wiadomość, że jedziemy do "Żen-ołpu" - czyli obozu żeńskiego. W Susumanie był tylko jeden żeński obóz, nawet niedaleko naszego /1,5 km/, ale dostać się tam normalnie nie można było. Po przyjeździe do "Żen-ołpu" na wartowni od razu nas uprzedzono, że poza teren stołówki, gdzie miały być występy, nie wolno nam wychodzić. Jeśli ktoś będzie musiał wyjść, to ma się zgłosić do "nadięra-tiela".

III B

"Żen-olp" wyglądał czyściutko. Baraki równo ustawione - nie tak, jak w obozach przy kopalniach. Były nawet alejki, baraki czyste, w stołówce podłoga i stoły czyste - nie tak jak w naszych obozach. Kobiety były tak ubrane, że nawet było widać, że to są k o b i e t y.

W trakcie urządzania sceny, ustawiania krzeseł i pulpitu, spytałem dziewczęta, czy są tu jakieś Polki. Powiedziały, że są, a ja poprosiłem, żeby przyszły. Pierwsza przyszła Wiera Galecka. Przedstawiłem się i pytam, czy są jakieś inne. Odpowiedziała, że tak, a jedna jest z Tarnopola. Poprosiłem o widzenie się z nią. Poszła jedna, wróciła i mówi że Jana nie chce przyjść. Poszła jeszcze raz, powiedziała, że tu jest "chłopak, który mówi tak samo jak ty" - i wtedy Jana - obecna moja żona - przyszła. Poznaliśmy się, no i naturalnie od razu okazało się, że mamy mnóstwo wspólnych znajomych - profesorów gimnazjalnych, kolegów, nawet mojego ojca znała z widzenia.

No i ... miłość od pierwszego wejrzenia! Przecież to już tyle lat, a tu - Polka, tylu znajomych....

Naddieratiel nawet życzliwie się do nas odniósł - pozwolił nam porozmawiać sobie na ganku. Wtedy daliśmy sobie słowo, że po wyjściu z obozu będziemy razem. Była to nasza jedyna rozmowa, bo potem więcej już się nie spotykaliśmy - aż do wyjścia z obozów. Był to kwiecień 46r

Skończył się koncert, dziewczętom kazali wyjść, a nas zostawili na kolację. Była wyśmienita jak na obozowe warunki - dziewczęta nawet bliny zrobiły. Dziewczyny zaglądały przez okna /Wiery i Jany wśród nich nie było/ - widać było, że są głodne. Było to bardzo przykre.....

Potem korespondowaliśmy ze sobą, oczywiście nieoficjalnie - przez rozmaitych wodowodów, tych co wożą węgiel itp. /oni jeździli bez konwo^{ju}

~~xxx~~ Po tym spotkaniu tak mi się przykro zrobiło, że postanowiłem rzucić kultbrygadę. Wszyscy mi odradzali, dziwili się, nawet naczelnik KWCz ostrzegał, że wrócę do kopalni złota. - a tu można jakoś żyć. Ale ja nie mogłem pogodzić się z tym, że Jana tam jest w obozie, ciężko

jej, a ja mam dobrze. Z jakiej racji ja mam mieć lżej niż ona?

I rzeczywiście wysłali mnie na pryisk "Stachanowiec" - do ciężkich robót. Była to podziemna kopalnia, ale już zelektryfikowana, dostawaliśmy narzędzia amerykańskie. Pojawił się biały chleb z amerykańskiej mąki, w szpitalach przyobozowych - koce. Życie trochę poprawiło, ale praca była ciężka i pajki nam nie dołożyli /rok 1946/.

Pomoc amerykańska trwała długo. W którymś roku /nie pamiętam w którym/ przyjechała komisja amerykańska i w obozach, które były przy drodze Magadan - Susuman poznosili wieże wartownicze, zostawili tylko druty. Nie przyznawali się, że w tych obozach pracują więźniowie, a do tego polityczni.

Po zakończeniu wojny zaczęli w obozach wyświetlać filmy. Ja nie chodziłem, bo nie miałem ani siły ani chęci. Ale któregoś dnia przywieźli film "Dodek na froncie" z Dymszą w roli głównej. Moi towarzysze od razu mnie zawołali i na ten film poszedłem. W innym roku widziałem film "Zakazane piosenki". Po tym filmie miałem chyba jeden z najtrudniejszych momentów - myślałem, że tego nie przeżyję. Ja jeszcze siedzę w obozie, a oni pokazują jak się Niemcy znęcają nad Polakami. Wojna się skończyła, a sami co z nami robią?

W 1948-49 przenieśli mnie do obozu "Bieliczan". Pojawiły się tam pierwsze spycharki, do których nie mieli obsługi. Zaczęli więc wyszukiwać sprytniejszych chłopców. Kiedyś, w 49 r. potrzebowali pomocnika do tej spycharki, ale musiał to być człowiek, który mógł wychodzić z obozu bez konwojenta. Ja już byłem "rozkonwojowany" w kultbrygadzie i tak już zostało. I dzięki temu wzięli mnie na tego pomocnika. W 1950 r. zorganizowali kursy operatorów spycharek i ja dostałem się na ten kurs.

Szef kursu - młody oficer frontowy zorganizował kurs poza obozem. Dostał barak i tam było nas ok. 16-tu. Nary były pojedyncze, nie piętrowe, stół pośrodku, dostaliśmy sienniki, koce i suchy prowiant. Tylko od razu się to zjadało i jedzenia brakowało. Szliśmy więc w tajg

gę, zbieraliśmy drewno, za które coś do jedzenia dostawaliśmy w obozie. Nauczyliśmy się też łapać kuropatwy. Kłusownictwo panowało niesamowicie. W zimie śnieg jest twardy, robiło się w nim dziurę butelką, wokół dziury rozsypywało jagody, jak stado kuropatw przylatywało, to zjadało jagody najpierw na powierzchni, a potem szukały w dziurach. Kuropatwa wciskała się dzióbkiem do dziury przyciskając sobie skrzydełka, a potem nie mogła się wydostać i tak zamarzała. Na drugi dzień przychodziło się i wyciągało 10 - 15 kuropatw. Łapaliśmy też zające - podobnie jak cała zwierzyna tamtejsza w zimie - zupełnie białe. Brało się kawałek ~~drzewa~~ rury od pieca, z jednej strony zatykało się otwór siatką, a do środka kładło się jakiś zielony liść. Zając wchodził przez otwór rury, zjadał liść, ale już się nie mógł wycofać, bo zając nie umie chodzić do tyłu. Zostawał więc w rurze i zamarzał.

W 1950 r. Jakuci przywozili nam kumys, można też było od nich kupić mięso z jelenia /wtedy już nam płacili/. Jakuci też od nas coś kupowali.

U nas nie było żadnych "specłagrów", żadnego rozdzielania więźniów, cały czas byliśmy z kryminalnymi.

Tylko w 1949 r. wprowadzili "chozroszczot" - rozliczenie: za wykonaną pracę wypłacali jakąś sumę i po miesiącu ~~by~~ można było zanią kupić bochenek chleba na wolnym rynku.

Jakuci odnowili się do nas zupełnie obojętnie. Mówili słabo po rosyjsku. Władze obozowe pozwalały nawet wyjść za bramę tym, którzy mieli jakieś pieniądze i chcieli coś kupić.

Wykładowca na kursie dla operatorów odnosił się do nas bardzo dobrze - nie robił różnicy między więźniem a wolnym. Przynosił nam machorkę, zeszyty, kredki, ołówki. Ja nie nadażalem z notowaniem po rosyjsku, bo słabo umiałem pisać. Pisałem więc po rosyjsku ale łacińskim alfabetem. Kiedyś wykładowca zajrzał do mego zeszytu i zdziwiony zapytał po jakiemu ja piszę. Mówię, że po rusku - i czytam mu co napisałem. On nie poznał, że to alfabet łaciński.

W tym obozie było wielu wolnych tzw. frontowców. Np. dyrektor kopalni major Bowczyn. Bardzo dobrze odnosił się do więźniów.

Od 50-go roku do marca 52. r. - pracowałem, jeszcze jako więzień - jako operator na "spychu".

Z obozu przy kopalni Bieliczan zostałem zwolniony w kwietniu 52 r. Miałem tzw. zacioty. Dostałem bezterminową zsyłkę. Z początku trudno było się przyzwyczaić, bo w obozie przynosili gotowe jedzenie, a na wolności o wszystko trzeba się było starać.

Ale ajko wolny poszedłem do baraku dla wolnych, dostaliśmy pościel ubrania, a o chleb i pracę trzeba było się samemu starać.

Jak mnie wypuszczali z obozu, to zaprowadzili mnie najpierw do baraku-światlicy. Stało tam pianino i ja czekając na swego naczelnika poszedłem i zacząłem brzdąkać "Lulajże Jezuniu". Podchodzi do mnie jakiś człowiek i pyta czy jestem Polakiem. Był to Ukrainiec z tarnopolskiego.

Na moich teczkach personalnych, które wędrowały za nami po obozach był czerwony pasek - na ukos. Znaczyło to, że jestem "specjalnym więźniem - ciężkie przestępstwo. W Buchcie Nachodce któryś naczelnik nie chciał mnie wziąć na Kołymę, bo byłem niepełnoletni, ale inny poweidział, że mam tęczerwong "połosę", to znaczy, że muszę jechać do speclagru na Kołymie.

Po zwolnieniu pracowałem w kopalni, a mieszkałem w baraku robotniczym. Za mieszkanie się pałciło. Jedliśmy w stołówce.

taśma IV A

Sprowadziłem mu tę dziewczynę, znalazłem mu jakieś lokum. Ona była tak z nim umówiona, że w międzyczasie wyciągnęła mu pistolet i podrzuciła tym żułokom. Oni momentalnie ten pistolet zanieśli prokuratorowi, ten od razu dał znać telefonicznie do WOCHR-y, ci przybiegli uzbrojeni i na kolbach karabinu zanieśli go, tłukąc, do koszar. To ilustruje stosunek tych ludzi do swoich kolegów, do swoich żołnierzy.

Ci żołnierze byli tak samo, może tylko trochę mniej głodni, jak my. Niektórzy wymieniali machorkę na chleb. Oni też się tam męczyli. I to byli przeważnie ci, którzy odbywali tam służbę zasadniczą - prawdopodobnie tzw. karniacy.

Po zwolnieniu od razu postanowiłem odnaleźć swoją żonę /w sercu byliśmy już dawno małżeństwem/, znalazłem ją i poszedłem do naczelnika przyiska "Nowy" ~~z proszkiem~~ ^{proszac} o mieszkanie, bo się żenię. Było to koło Berelocha, uczastek "Nowy", niedaleko Susumanu. Żona akurat w tych dniach miała zwalniać się z obozu. Naczelnik ogromnie się zdziwił, że dopiero wyszedłem z obozu i tu na Kołymie już się chcę żenić, ale mieszkanie dał. Była to część baraku, w której już ~~nik~~ nikt nie chciał mieszkać, bo tak była zdewastowana, - jeden nieduży pokoik, 3 x 3 metry, z przedsionkiem. W pierwszej chwili, jak to zobaczyłem, to byłem zaszokowany, ale od razu zwróciłem się do swoich kolegów-Polaków, którzy byli w Berelochu i w Susumanie /jeden był stolarem, drugi malarzem, trzeci krawcem/ i pomalu ten pokój wyremontowaliśmy. Ponieważ sam pracowałem jako strzałow, więc ze skrzynek z dynamitu zrobiłem taborety, stół, ^{kozetkę} ~~piec~~ zrobiłem z beczki po benzynie /jak w barakach/, łóżko - zrobiłem w kuźni z prętów żelaznych zbrojeniowych. ~~Moledzy~~ pożalowali mi ściany i podłogę. Jak żona wyszła z obozu i przyjechała do mnie to zrobiła w oknach firanki z gazet. Któregoś dnia wpadł do mnie któryś z kolegów z pracy - Rosjanin /miałem tam dobrych kolegów/ i potem opowiadał naczelnikowi, że "u Sławki

job twoju mat, - kak w muzeum" - dlatego, że taki był porządek i tyle porządných rzeczy - nie byli przyzwyczajeni do tak czystých i tak urządzonych mieszkań, w dodatku był krzyż i książki /polskie/. Naczelnik tak się zainteresował, że wpadł do nas, zobaczył i pochwalił. Ponieważ żona pracowała kiedyś na "Agro-bazie", więc umiała hodo- wać rośliny w tamtym klimacie i pod oknem założyła ogródek. W lecie tego roku była w uczastku "Nowy" powódź i naczelnik kazał ratować "Sławki ogród" - dał słupy telegraficzne, zagrodził nimi ogródek /a woda była już w mieszkaniu/ i ogródek się uratował. A na Koły- mie taki ogródek to było coś wyjątkowego - prawie nikt nie dawał so- bie rady z klimatem.

listopad 1990 r. c.d.

O fakcie, że wychodzę na wolność zostałem zawiadomiony w odległoś- ci ok. 12 km od obozu - na lesopowale. Z początku mnie to zaskoczyło. - zrobiło dziwne wrażenie. Nie wiem, czy ucieszyło... Następnego dnia rano zgłosiłem się do obozu i - zamiast radości - byłem zmartwic- ny: co ja będę robił, jak ja sobie dam radę w życiu. Bo w obozie zaws- sze ktoś mnie pilnował, ktoś mnie tej tupy kazał zjeść, było gdzie spać. A tu ani nieubrany, ani łóżka, ani dachu nad głową. Ale powoli jakos to się unormowało i chociaż zsyłka też była ciężka, ale bez po- równania lepsza niż obozy.

Ja się trzy razy żeniłem: pierwszy ślub - "sercowy" - to był w obozie, drugi - wtedy, gdy zamieszkaliśmy razem. To już było po zawiadomieniu naszych rodziców, bo rodzice załatwiali nam wyzew - Jani na nazwisko Węgrzynowska. Myśmy byli więc zmuszeni do wzięcia cywilnego ślubu, chociaż wcale nie przywiązywaliśmy do niego wagi. Ale formalności, zwłaszcza ten wyzew tego wymagał.

A trzeci ślub - to już był kościelny, w Łodzi, wśród Polaków.

Zawsze byłem dumny, że się trzy razy żeniłem - z jedną żoną.

W momencie, gdy dostaliśmy pozwolenie na wyjazd /a mieszkaliś- my cały czas w "Nowym"/, to przez trzy dni i trzy noce chyba żeśmy oka-

oka nie zmrużyli - nie mogliśmy się doczekać, kiedy już wsiądziemy do tego autobusu i kiedy opuścimy Susuman. Był to 1955 r. - 25 października.

A zwolniony byłem w 1952, czyli trzy lata spędziłem na zsyłce.

- nie mając żadnej gwarancji, że wrócimy do Polski. Dowodem tego są listy, które tu mam od rodziców. Pisaliśmy mnóstwo listów do domu, rodzice nam odpowiadali. I w jednym z listów ojciec mnie poprosił, żebym numerował listy, bo niektóre ginęły. Zginął m.in. list, w którym odważyłem się napisać, kiedy zostałem aresztowany, kto mnie sądził, jaki paragraf - i oczywiście ten list nie doszedł. I te wszystkie swoje listy, ponumerowane, tak jak je rodzice otrzymywali mam teraz u siebie w domu. Mam również telegramy, które wysyłaaliśmy w drodze powrotnej z każdej możliwej miejscowości.

Wracając do zsyłki. Po wyjściu z obozów, po tym drugim ślubie, od razu nawiązaliśmy kontakt ze wszystkimi Polakami, którzy byli w Susumanie i okolicach. Tam była spora grupka - około 20 osób. Spotykaliśmy się we wszystkie święta i przy wszelkich możliwych okazjach /mamy zdjęcia/, m.in. był pogrzeb jednego Polaka /nazwiska nie pamiętam/ - jest zdjęcie.

Ponieważ myśmy byli małżeństwem, a małżeństw tam było mało, to najczęściej do nas się wszyscy schodzili. A jak było to nasze "cywilne wesele", to milicja na osiedlu miała ostre pogotowie, bo oni Polaków to się trochę bali. Wśród wolnych Rosjan mieliśmy raczej sprzymierzeńców, nie wrogów. Wtedy już żuliki nie wiedli prymu, przeważnie byli ci, którzy chcieli pracować, duża część inteligencji.

Ja miałem dwa zawody: byłem operatorem spycharki-buldożera, na której pracowałem tylko w okresie letnim. Natomiast żeby utrzymać się w okresie zimowym ukończyłem kurs strzałowców i byłem w zimie strzałowcem i w kopalni odkrywkowej i w głębinowej. Wszystko to były kopalnie złota, na innych nie pracowałem.

Nie pamiętam ile zarabiałem, ale biedy nie mieliśmy i w porównaniu do innych - cieśli, stolarzy, to ja z tymi dwoma zawodami zarabiałem stosunkowo nieźle.

Pani Joanna: mąż zarabiał sporo, ale dobijały warunki materialne i moralne. Sklep był zaopatrzony, jak była dostawa - możliwy transport, a jak warunki nie pozwoliły, to mąki nie było i czy wolny czy więzień, to chleba nie miał. Mleko przywozili raz na kilka miesięcy - łupane z lodu, w bryłkach przywozili....

Pan Stanisław: na Kołymie pijało się mleko od reniferów - Jakuci w zimie przywozili mrożone mleko, a czasem i mięso reniferów. Tam było wszystko smaczne... Pamiętam w pierwszych dniach tzw. wolności poszedłem do sklepu i dostałem masło - wydawało mi się, że ogromną ilość /a było chyba z ćwierć kilo/ i nie wiedziałem co z tym zrobić. Bałem się, żeby się nie rozchorować, bo tylko dlatego przeżyłem obóz, że nigdy nie pozwalałem sobie na przeżarcie. i na jedzenie byle czego. Z tego masła dostałem też trochę cukru /zwyczajnego, nie łupanego z "głowy"/ - to był rarytas. Utarłem sobie masła z cukrem i chyba z centymetr posmarowałem sobie tym chleb - to było dla mnie „niebo w gębie”. Ale to było, zanim przyjechała żona. Potem to już żona gotowała, m.in. ruskie /syberyjskie?/ pierogi ...

Pani Joanna: Po śmierci Stalina zrobiła się wielka odwilż, większa amnestia niż po zakończeniu wojny i zaopatrzenie zrobiło się lepsze. Zakupy robiło się tylko na dwa, trzy dni, a nie na parę tygodni, jak przedtem. Lodówki nie trzeba było, bo była skrzynia na dworze, taka na węgiel, mięso rąbało się od razu na kawałki i potem po kawałku się brało. Ponieważ panował tam okropny szkorbut - z powodu braku jarzyn, więc najbardziej poszukiwany był tzw. barszcz ruski, czyli kapuśniak. I to ludzie jedli, a żadnego krupniku, kaszy nie chcieli.

Pan Stanisław: Jednym z najcięższych dla mnie momentów w obozie, to był dzień, w którym przywieźli film do obozu, było to już po zakończeniu wojny. Były to "Zakazane piosenki". Jak na tym filmie zobaczyłem Warszawę, jak zobaczyłem Polaków, jak usłyszałem język polski i polskie piosenki, to dla mnie było to chyba większą katorgą jak te wszystkie warunki zewnętrzne, klimat, ciężka praca itd.

Później na zsyłce już coraz częściej przychodziły różne gazety i tygodniki, powstał Dom Kultury /i w Susumanie iw Berelochu/, ~~właś-~~ i tam się dowiadawaliśmy, jak "oni" nam bardzo pomagają po wojnie, budują Pałac Kultury itp. Ciągłe padały argumenty: "zobacz, jak oni wam pomagają, ty jako Polak powinienesz też dla nich pracować, wydobywać to złoto... " itp.

Dla mnie zsyłka i ohozy - to była ciągłość. Poczulem się wolny dopiero jak przejechaliśmy granicę w Żurawicy, w Przemyśle, jak wyszedłem z punktu repatriacyjnego - zza drutów, którymi ten punkt był otoczony.

Ja jestem przekonany, że major rosyjski, który nas przywiózł do Żurawicy przywiózł nasze akta personalne. Ja widziałem swoje akta - przy zwolnieniu z obozu i widziałem, jak naręcze takich akt niósł przed sobą ten major. Jestem więc przekonany, że nasze akta są tutaj w Polsce. Może nie w całości, ale główne - napewno.

Pełnomocnik NKWD z obozu, który mnie zwalniał, otworzył moją teczkę. I zobaczyłem tam swoje zdjęcia - które mi robili w trakcie śledztwa. Zwracam się do tego pełnomocnika i proszę: "grażdanin, dajcie mi jedno takie zdjęcie na pamiątkę" - i dał mi. Czyli te akta cały czas za nami szły. Jeszcze jedno: w Chabarowsku czekaliśmy kilka dni - chyba 11 - na specjalny pociąg. Przyjechała tam komisja z Moskwy i oni też mieli te akta przy sobie. Ta komisja nas wzywała do siebie i starała się wyłudzić od nas wszelkie dokumenty, jakie kto miał. Obligacje wymieniali na ruble. A inne dokumenty kazali oddawać. Ja ani jednego nie oddałem - przeszwarowałem je do Polski, ale inni poddawali dokumenty. A tłumaczyli nam, że wy wszystkie dokumenty dostaniecie w punkcie repatriacyjnym w Żurawicy. A myśmy dostali wyłącznie kartę repatriacyjną. Później, jak wyrabiałem dowód osobisty w Łodzi - w MO i wypełniałem ankietę - pierwszą w Polsce, to w rubryce "obozy" były tylko hitlerowskie, więc ja to przekreśliłem i napisałem "obozy w ZSRR". Po wypełnieniu ankiety zostałem wezwany do majora MO, który wytłuma- czył mi, że ponieważ w Polsce Ludowej nie byłem karany, to mam wpisa

"nie karany", a poza tym chyba zdaję sobie sprawę z tego, że w Związku Radzieckim nie ma obozów. Ja pytam - co mam zrobić z tymi wszystkimi latami, które tam spędziłem? Odpowiedział, że mam wpisać, że pan pracował w Związku Radzieckim. To było w styczniu 1956 r. /myśmy wrócili 3 grudnia 1955 r./.

Po powrocie, ponieważ żona była w ostatnich dniach ciąży, to pojechaliśmy nie do moich rodziców do Łodzi, tylko do Sanoka - do jej rodziców. I tam urodziła córkę.

Pani Joanna: Ale po kilku dniach pojechaliśmy do Łodzi. Tam 17 grudnia wzięliśmy ślub, musieliśmy mieć specjalną dispensę, bo moja mama nie chciała, żebym rodziła nieślubne dziecko, bo ja jestem taka słaba i zmęczona, więc gdyby coś się ze mną stało, to - według mamy - dziecko byłoby nieślubne. A mama była chora - miała paraliż na tle nerwowym. I dlatego szybko wzięliśmy ślub kościelny. Potem pojechaliśmy na święta do mnie do domu i nie zdążyliśmy wrócić do Łodzi. Ale mam wrażenie, że te dowody osobiste już wtedy mieliśmy, bo razem wypełnialiśmy tę ankietę. Ja, jak doszłam do rubryki :sądzony, to mnie do głowy nie przyszło, że jeśli byłam na Kołymie to mogę napisać - "nie sądzona", bo cóżbym robiła tyle lat w obozach - nie sądzona? Tam przecież nawet swoich wolnych nie wszystkich wpuszczali - to była "zapretzona". Każdy musiał też specjalne ankietę wypełnić i nie każdemu wolnemu pozwalali na pracę na Kołymie. Dopiero później, po śmierci Stalina, to ktoś np. na zsyłce mógł sprowadzić żonę, bo tam można było przynajmniej lepiej zarobić.

Pan Stanisław: za naszej bytności na Kołymie "Stalin jeszcze cały czas był Stalinem". Zmieśliły się na lepsze /trochę / warunki materialne, ale poza tym większych zmian - we władzach i obozach - nie było.

Pani Joanna: Ale odczuwało się jednak pewne zmiany, bo jak się zwalnialiśmy z obozu, to mnie - jako urodzonej na Kresach /w Tarnopolu/ dali dowód osobisty - ale radziecki. A mężowi - pochodzącemu z ~~innej~~ obecnej Polski - dali tzw. wilczy bilet. Ale co mi było z tego dowodu, jak ja chciałam jechać do innego województwa, to musiałam starać się

o przepustkę. Bo w dowodzie miałam zaznaczone, że byłam więźniem politycznym /jakiś paragraf 39/. A żeby dojechać do Magadanu, to musiałam mieć specjalną przepustkę. A jak umarł Stalin, to automatycznie to znieśli.

"Dalstroj" to była wielka instytucja podporządkowana Moskwie - jeden wielki obóz. W Susumanie był sklep nr 8 - tam osiem rodzin się zaopatrywało - "bogowie" Susumanu i Dalstroju. Dalstroj dzielił się na wschodnie i zachodnie "uprawlenije".

IV B

Po moim aresztowaniu rodzina nie wiedziała długi czas, co się ze mną dzieje. Myśleli, że zginąłem w Katyniu, bo byłem aresztowany w grudniu 1940 r. - więc te daty się zbiegały. Transport, którym jechałem z Tarnopola był kierowany do Charkowa, nas Charków nie przyjął, bo był przepełniony. I to nas najprawdopodobniej uratowało i nie pojechaliśmy do tamtych obozów. I nas z Charkowa zawieźli do Kijowa, tam znowu nas nie przyjęto, potem do Dniepropietrowska, tam nas nie przyjmują, wiozą nas do Odessy, nie przyjmują nas i cofają z powrotem do Dniepropietrowska. A tam w międzyczasie zrobili więzienie w olbrzymich koszarach wojskowych. I tam siedzieliśmy.

Wracając na Kołymę: dyrektorem kopalni, w której pracowałem był major - pracownik Dalstroju - inżynier Borczyn /?/. Nawiasem mówiąc bardzo porządny człowiek. Ja może za dużo dobrego o nich mówię, ale ja chcę mówić prawdę. Z tym inżynierem Borczynem miałem tyki wypadek: pracowałem na tym "spychu" /spycharce/. To była dla nich bezcenna maszyna, bo złoto płucało się w zasadzie tylko przez trzy miesiące i jak spych stanął na godzinę czy dwie, to już normy spadały. I mnie nawaliły "przeguby", zacząłem je remontować. Ten inżynier podjechał do mnie konno i pyta, co się stało. Powiedziałam mu, pyta, czy to zrobię i czy długo to będzie trwało. Mówię, że jak sam będę robił, to potrwa ze trzy godziny, ale jak ktoś pomoże, to szybciej zrobimy. I ten dyrektor kopalni zsiadł z konia, zakasał rękawy i razem ze mną naprawiał.

czasach dostać się do polskiej ambasady, to trzeba było mieć pozwolenie od naczelnego prokuratora miasta Moskwy. I ~~nie~~^{ja}, która miała w dowodzie ten § 39, to mogłam być w Moskwie tylko 24 godziny. Poza tym, miałam bardzo dużo adresów z Moskwy i spod Moskwy /"Żajworonki"/ - od zsylnych z Kołymy, więc musiałam wszystkich odwiedzić. A na ulicy Stanisława w Moskwie była Zinaida Pietrowna ~~Tieriaszkowa~~ która była ze mną w obozie, i po śmierci Stalina pojechała do Moskwy i u niej się zatrzymałam. Tam, w jednym pokoju mieszkała z matką i siostrą w drugim pokoju. Jej matka, starsza pani wyjęła dwa kryształowe kieliszki, pokazała mi je, mówiąc: " to tyle zostało z przeszłości". Jednego adresu w ogóle nie mogłam znaleźć. Prawdę powiedziawszy byłam w tej Moskwie prawie miesiąc. Tylko byłam ciągle gdzie indziej i trochę się jednak bałam. Już mi powiedzieli, że ja nic nie zdziałam i że jeśli wystąpię o pozwolenie na wyjazd do Polski, to mogę się dostać tylko z powrotem.

- na 10 lat. Więc zdecydowałam się na wyjazd do Tarnopola, zatrzymałam się u sąsiadów i od nich dowiedziałam się, gdzie jest moja rodzina ^{- wszyscy w Polsce}. Nawet potem dzwoniła do mnie moja siostra, ale mnie już w Tarnopolu nie było. Byłam przygotowana na to, że przejdę przez "zieloną granicę" Nawet materialnie byłam do tego przygotowana /jakiś złoty zegarek itp. Nawet na zsyłce nie mogłam z rodziną korespondować, tylko moi rodzice pisali do tej sąsiadki do Tarnopola, a ona przeadresowywała do mnie na Kołymę i tą drogą jateż pisałam do rodziców. Dopiero w 55 r. można było wprost pisać. I ja z Tarnopola napisałam do rodziców, żeby przysłali mi "wyzew", ale również dla mego męża.

W czasie tego pobytu w Tarnopolu ta koleżanka Mila powiedziała mi, że w Polsce jest to samo co tu i że "Polacy ciebie oddadzą" - czyli wsadzą. I ja, żeby mnie tak bardzo nie kusilo, zwłaszcza, że rodzice byli blisko - w Sanoku, nadałam depeszę do rodziców, dostałam odpowiedź, z której wynikało, że mój ojciec nie żyje, co nie było prawdą i dopiero jak dostałam następną depeszę od rodziców - że żyją i adres, to postanowiłam wracać. Wysłałam list do rodziców z wiadomością, że wracam do męża na Kołymę. Mój ojciec podobno zaniemówił, jak ten list

przeczytał. I wyjechałam z Tarnopola. Przywiozłam walizkę polskich książek - to była wielka uciecha dla Polonii i oprócz tego - kilogram cebuli.

Pan Stanisław: I z radości, że przyjechała, położyła tę cebulę pod łóżko, zapomniała, a cebula zamarzła i trzeba było wyrzucić ten kilogram cebuli przywieziony z Tarnopola.

Pani Joanna: ~~jeżdżąc~~ nici przywiozłam, bo tam dorabiałam szyjąc na maszynie, ~~maszynę też przywiozłam~~. Zarabiałam tak ~~na Tarnopolu~~ i dzięki temu miałam pieniądze na podróż. ~~Na~~ Kołymę leciałam samolotem do Irkucka, potem jechałam pociągiem, bo po drodze wtapiałam do ojca dziewczyny, która była na Kołymie, a jej ojciec był w Pawłodarze i ona prosiła, żebym tam wstąpiła i zobaczyła co się dzieje z ojcem. - i gdzie lepiej: czy lepiej ojca zabrać na Kołymę, czy starać się o wyjazd do niego. Nie mogłam tego stwierdzić, bo on też nie miał dobrze, a na Kołymę staruszka też nie było sensu ciągnąć.

4 powrotem jechałam pociągiem, a potem statkiem, bo już brakowało pieniędzy na samolot. Statek był nawet ładny, nazywał się "Ruś" - "ciepłochód". I jeszcze pieniędzy mi nie stycrzyło, więc w Nachodce musiałam sukienkę z siebie sprzedać, żeby kupić bilet na ten statek. Bo statek, którym planowałam jechać, jakiś drugorzędny i pieniędzy by mi na niego starczyło - wypłynął już, bo pociąg spóźnił się dwa dni. Pięć dni nocowałam w porcie - raz na dworcu w porcie, raz na dworcu kolejowym, ale tam było więcej takich jak ja. I po pięciu dniach odpływał ten droższy statek. 7 płynęłam tą samą trasą co poprzednio. W Nachodce dalej był ten sam punkt rozdzielczy dla więźniów ale nie wiem czy były transporty na Kołymę, bo byłam tylko w porcie dla statków pasażerskich i starałam się nie kręcić nigdzie. Przecież wiedziałam, że te moje papiery były trochę niebezpieczne, ale ja nie miałam nic do stracenia.

Pan Stanisław: dzięki kontaktowi ze swoją rodziną nawiązała kontakt z moją rodziną, moja rodzina postawiła na nogi wszystkich, mapisała i do Moskwy i do naszych najwyższych władz o zezwolenie na powrót syna i synowej. I tylko dzięki temu myśmy wrócili.

Ale wszystko też - dzięki tej wyprawie mojej żony - 45 tys. km zrobiła. Dzięki wyzewom myśmy wcześniej wrócili, bo inni też wracali, ale rok czy dwa lata później. Np. Czesiek Zajączkowski z Częstochowy /już nie żyje, Adam Struzik i inni.

Pani Jowanna: po pewnym czasie ta nasza "skrzynka kontaktowa" z Tarnopola, czyli Mila wycofała się ze współpracy, bo po prostu bała się, że ją mogą posądzić nawet o szpiegostwo. Bo oprócz nas kontakto- wało się poprzez nią jeszcze kilka rodzin, których adresy ja przywioz- lam. Dużo pomogła, ale potem się przestraszyła.....

Wyjeżdżając z Kołomy umówiliśmy się z mężem, że ja wrócę - po prostu. I wróciłam - po pięciu miesiącach.

Pan Stanisław: przecież myśmy się poznali w 1946 r., więc ta nasza miłość trwała już dobrych kilka lat; osiem lat - tylko obozowych. Będąc w obozach pisaliśmy do siebie - zawsze trafiła się jakaś okazja. A jak wróciła i przywiozła ze sobą te książki polskie - to była rado- cha. ^{my}myśmy te książki /m.in. Trylogię./ zostawili Struzikom, którzy w tydzień po nas wrócili do Polski, a oni zostawili pozostałym Pola- kom.

Joanna /Jana/ Węgrzynowska
z d. Gołda

/nagranie w Sosnowcu - przez M. Giżejowską/ - 1990r.

I A

Ojciec mój był rolnikiem. Miał gospodarstwo w Sienkiewiczówce /10 km od Tarnopola/ i tam mieszkał ze swoją matką. A my - z naszą mamą mieszkaliśmy w Tarnopolu, bo chodziliśmy do szkoły. Było nas siedmioro rodzeństwa: 4 siostry i 3 braci. Ojciec płacił na wykształcenie nas wszystkich. Najstarsza siostra chodziła do gimnazjum nauczycielskiego prywatnego. Płaciło się za nie 50 zł za naukę i 70 zł za utrzymanie miesięcznie. To było bardzo dużo, więc ojciec zdecydował się na wybudowanie domu na peryferiach Tarnopola /ul. Nowy Świat/, - bo to wyszło taniej niż bursa dla nas wszystkich. Dom był od frontu parterowy, z tyłu - piętrowy.

Wojna w 1939 r. zastała nas wszystkich w Sienkiewiczówce. Do ~~sz~~ szkoły już nie poszliśmy. Jak wkroczyli Rosjanie, to została zlikwidowana Sienkiewiczówka i uciekliśmy do Tarnopola - głównie przed Ukraińcami. Nawet nie można było młócić zboża, bo nafty do maszyny zabrakło, a Ukraińcy nie pozwalali podchodzić do stogów.

Ojciec hodował krowy, więc jak nasze wojsko zaczęło się cofać, to myśmy na szosę wynosili dla żołnierzy mleko.

Moi rodzice byli prostymi ludźmi /pochodzili z rzeszowszczyzny/, ale zostaliśmy wychowani bardzo patriotycznie.

Mój ojciec był drugim mężem mojej mamy /owdowiała w wieku 20 lat/ i po ślubie wyjechali na Podole.

Ja w szkole organizowałam różne zbiórki /na LOP itp./ i w ogóle byłam bardzo aktywna, co przydało się na Kołymie.

Jesienią 39 r. zaczęliśmy chodzić do szkoły, którą otworzyli ruscy. Przed wojną poszłam do gimnazjum, a teraz cofnęli mnie do 6 klasy w 10-latce. Szkoła była z jęz. ukraińskim i rosyjskim. Ojciec miał zostać wywieziony, ale uciekł i potem pracował jako stróż w domu dziecka. Nie przychodził do nas i tak jakoś przetrwał.

Po wejściu Niemców Rosjanie uciekali w wielkim popłochu. A Ukraińcy bardzo się wzmocnili, poczuli pewniej i coraz częściej urządzali napady na Polaków. Do Sienkiewiczówki ojciec już nie wrócił. Wcześniej wywiózł sporo zboża, czasem w nocy podjeżdżał do gospodarstwa, zabierał trochę siana itp.

Jeszcze za ruskich powstała tam "siel-rada", której przewodniczącym był Wojewódka, którego potem ruscy wywieźli. On uciekł i pracował później w Wolnej Europie. Jego brat - Bolek został, przyjeżdżał często do nas i mówił co się dzieje w Sienkiewiczówce /opowieść o 9 kotach/.

W czasie okupacji niemieckiej dwie moje siostry były już mężatkami. Najstarsza /obecnie w Kanadzie/ pierwsza nawiązała łączność z AK i wprowadziła resztę. Ja wstąpiłam do organizacji pod koniec lata 1943 r. Wcześniej trochę szkoliła mnie siostra. Przysięgę składałam u "Dziadek" /Ginałski?/ w Tarnopolu na ul. Kraszewskiego. To był oddział VI.

Ludzi z organizacji prawie nie znałam. Wiem, gdzie chodziłam po matryce, gdzie Pytlówna miała tajne nauczanie /uczyła francuskiego/. Moi koledzy prowadzili kolportaż, a ja byłam łączniczką. Jeździłam do Brzeżan, złoczowa. W Brzeżanach byłam w marcu 44 r., tam już nacierali ruscy i z powrotem nie było już pociągu. Wróciłam jakoś niemieckim samochodem z grupą handlarzy - pod pretekstem przeozu jajek.

Kiedy nasz dom stał się już niebezpiecznym punktem konspiracyjnym, bo drukowało się tam nawet na cyklostemie, to moi rodzice wyjechali - do swego gospodarstwa w amiennymk/Sanoka /do 1956 r. nikt nie wiedział, że oni tam mają jakiś majątek; teraz tam mieszka brat/.

Z obozu jenieckiego koło Tarnopola uciekło dwóch Francuzów. Jeden z nich ukrywał się u nas w domu. Potem ich odebrali Węgrzy, którzy nam przywozili broń. Napierwsze spotkanie poszał moja siostra z Francuzem - Karolem /wyższy oficer/, ale wtedy Węgrzy nie przyszli. Zabrali go dopiero po dwóch dniach.

Jeszcze w 1943 r. pojechałam do Złoczowa z matrycą. Planowo miałam tam być o 5-ej po południu, a o 7-ej miałam wracać. Ale pociąg się

spóźnił i do Złoczowa dojechałam dopiero o 10-ej wieczorem. Musiałam iść na ul. Koszarową i nie wpadło mi do głowy, że to musi być koło koszar, w których wtedy stacjonowali Niemcy. Myślałam, że przenocuję na dworcu, ale tam ludzie od razu się rozpierzchli i zostali tylko gestapowcy, więc ruszyłam do miasta. Dołączyłam się do jakiejś kobiety, spytałam ją, gdzie jest ul. Koszarowa, ale ona nie bardzo wiedziała. Tę moją rozmowę słyszał jakiś młody facet /nie pamiętam jego wyglądu/ i on mi wytłumaczył, gdzie jest ta Koszarowa. A ponieważ była już godzina policyjna i ulice były puste, zaproponował mi, że mnie tam zaprowadzi. A tu nagle wychodzą Niemcy" "Halt ". Ja nie wiele myśląc skoczyłam za jakiś domek. I słyszę, że ten człowiek rozmawia z żołnierzami po niemiecku.



Joanna Węgrzynowska

I B

On podał, że jestem jego żoną i w ten sposób ochronił mnie. To nie był konfident niemiecki, bo musiałby mnie znać. Do dzisiejszego dnia nie wim kim on był. Musiał mieć jakieś dobre dokumenty, skoro nas puścili. A matryce miałam prawie na wierzchu, przykryte tylko wysokó książką: "Ogniem i mieczem". Zaproponował mi nicleg u swojej ciotki, do której się wybierał, a była już godzina 11/ta. Nie miałam innego wyjścia. I poszliśmy do tej ciotki. Wydaje mi się, że to był też jakiś dom konspiracyjny, bo ciotka bez problemu naszykował ami spanie. Rano żyez czył mi szczęśliwej podróży, wytłumaczył którądy mam iść i poszłam. O nic kompletnie mnie nie pytali. Ta ciotka zwracała się do niego "pan Ja całą noc nie spałam, tylko czuwałam, co to z tego będzie.

Jeszcze dzisiaj, jak to opowiadam, to jestem spocona. Po wejściu ^{Pieniazek} (sowietów) magazyny w Tarnopolu były pełne alkoholu i na ulicach leżało pełno pijanych - jak trupy. Przez cały miesiąc kwiecień Tarnopol był w okrążeniu: Niemcy w środku, risci dookoła. W tym momencie wejścia mój brat z ulotkami i z bronią uzyskaną na wrogu wpadł w ręce niemieckie. Wyratowało go ot, że zaczęły się straszne bombardowania i mógł uciec. - razem ze swoim kolegą, który teraz mieszka w Kielcach i podobno działał w Batalionach Chłopskich.

Nie mcy, zanim ruskich wpuścili to Tarnopol był bardzo zbombardowany, zostały całe tylko te magazyny. Ruscy weszli i na drugi dzień wyszli. i Potem był ten miesiąc okrążenia.

Siostra chciała się dostać do naszego rodzinnego domu. Po drodze od odłamka bomby został ranny szwagier a 5-letniej córeczce wyrwało mięsień na pośladku. Jak doszli do domu naszego, to zaczęliśmy szukać lekarza - a obok nas przechodziła linia frontu. Najpierw z bratem zaczęliśmy my chować ulotki, ~~inne materiały~~ /właściwie je zabezpieczać/ cyklostem, papier itp. Potem zaprzęgliśmy konie, rannych ułożyliśmy na słomie i pojechaliśmy. - aż 18 km. Tam była pomoc lekarska.

Byliśmy tam dwa tygodnie. Jak wróciłam do domu, to zastałam już

Rosjanie
czy
Mamy

w nim sowietów. Babcia została na dole w swojej kuchence, sztab ruskich w jednej części domu, rodzina rosyjska w drugiej części, posterunek na ganku. A moja rodzina cała rozpiezchła się. Rodzice dużo wcześniej wyjechali, bo matka bardzo bała się sowietów i jak w naszym domu zaczęła się na dobre konspiracja, to nerwowo nie wytrzymała.

Babcia powiedziała, że szukali, ale nie było żadnego wrzysku, więc znaczy, że nic nie znaleźli. Później zauważyłam otwierające się drzwi od strychu. Nie wiedziałam kto tam jest, ale widziałam mundury. Wzięłam ze sobą pana Szarego /on był z Batalionów Chłopskich i dobrze mówił po niemiecku i często udzielał różnej pomocy, npż wyrabiał lewe dokumenty/. Poszliśmy razem na ten strych. Jeden z żołnierzy to był napewno Niemiec, a drugi Azjata - jakiś Kałmuk. I ja tych dwóch ludzi wyprowadziłam przez te dwa posterunki - nie wiem do dziś czy dobrze zrobiłam. Ale ja bałam się przede wszystkim o ten dom, o ten cyklostem, następnej rewizji, bo już miałam wszystkiego absolutnie dość. Więc starałam się za wszelką cenę ich wyprowadzić, żeby był spokój w domu. A tam dzień i noc stał posterunek na ganku. Ale daliśmy im ubranie, wytłumaczyłam jak mają iść w kierunku Niemców, albo do jakiejś piwnicy. Po dwóch dniach wyszli. Następnego dnia siedziałam w domu - czekając co będzie. Na drugi dzień pojechałam do Bereżowicy - chcąc zamienić jakieś rzeczy na cukier. Powiedziałam babci, gdzie jadę. Ruscy zaczęli pytać, gdzie jestem, babcia im powiedziała i pojechali do mnie samochodem. W Bereżowicy zobaczyłam /majora w samochodzie który mieszkał w naszym sztabie. Przejechał koło nas drugi samochód i ja w nim zauważyłam tego skośnookiego. Ich złapali i oni mnie wydali. Pan Szary już był aresztowany. Ja o tym nie wiedziałam. W Tarnopolu więzienie już było rozbite. Jak weszłam do tego KPZ /przy NKWD/ - do wiejskiej piwnicy we wso k/Tarnopola. Było tam już sporo zatrzymanych. I ja na stole zobaczyłam serwetkę do ust z naszego domu i obok - zegarek Szarego. Wtedy wiedziałam, że on jest aresztowany. Wiedziałam, że muszę zrobić wszystko, żeby ten chłop wyszedł, bo on miał czworo dzieci.

Poza tym nie widziałam potrzeby, żeby dwoje ludzi siedziało, a postarać się, żeby samej wykazać się ~~max~~ jaknajmniejszą winą. Przecież pracy konspiracyjnej nie mogłam zdradzić i nie mogłam bronić. Pierwsze śledztwo miałam w "ronatynie /w tej piwnicy/, później w Tarnopolu, potem w Zbarażu, krzemieńcu, Dubnie i dopiero stamtąd wyjechałam. I kilkakrotnie śledztwo było właściwie takie samo. Na wszystkie pytania odpowiadałam tak samo: że ja ich schowałam, nie wiedziałam jak się nazywają, skąd są, nie znałam ich wcześniej itp. itd. Oni mnie też pytali o pracę konspiracyjną, bo ci Niemcy to był haczyk. Odpowiedziałam, że przecież nie mogę pracować w konspiracji, skoro ja Niemców ~~obowiazam~~. Dokładnie nie pamiętam co mówiłam - może mnie pani zabić.

Już po powrocie z Rosji pytała mnie jedna z pań: jakbym ja dzisiaj postąpiła? Odpowiedziałam, że chyba tak samo, bo nie miałam wyboru. Jej chodziło o tę pomoc Niemcom. Dla sewgo dobra może powinnam była tak zrobić, ale i tak bym wpadła. Może gdybym się bardziej zstanowiła, to nie byłabym aż tak bardzo humanitarna. Po prostu ja nie bardzo widziałam wyjście z tej sytuacji.

Aresztowali mnie 22 maja 1944 r., a Rosjanie weszli do Tarnopola na przełomie kwietnia i maja. Proces się odbył w pierwszych dniach sierpnia - w Zbarażu.

II A

Zostałam osądzona z § 58 p. 4 - zdrada ojczyzny., kontakty z zachodnią, burżuazyjną Europą. Wyrok - 10 lat obozów i 5 lat p.p.ob. /uzup. p. Stanisława: ludzie, którzy byli pozbawieni praw obywatelskich, to na zsyłce dostawali tylko tyle ile przepracowali - akord, natomiast wolni, lub ci, którzy nie mieli w wyroku tego p.p.ob. dostawali co pół roku 10% dodatkowo wysokości pensji i wzrastała im pensja. A nam nie/. Kiedyś przyszedłem po wypłatę i naczelnik kopalni bardzo mnie namawiał, żebym zrezygnował z wyjazdu do ~~kopalni~~ Polski, bo tutaj niedługo będę mógł dobrze zarobić, a tam nie mam po co jechać, bo to jest 17-ta republika. Mówił to inż Borczyn. - "Tam u was siedzi Kostia Rokossowski przecież..." Wtedy księgowa pytała mnie czy nie mam

pozbawienia praw obywatelskich. A mnie coś natchnęło i mówię: jakie ja mogę mieć pozbawienie praw, przecież jestem obywatelem polskim, dostałem wyzew z Poołski. Księgowa poszła z tą sprawą do syrektora i on zdecydował, żeby mi dać tę podwyższkę - dostałem wtedy o 100% więcej pensji.

Wszystkim, którzy pracowali na Kołymie jako wolni zaliczało się do emerytury rok pracy jako dwa lata. Uważam, że nam to też powinni zaliczyć. urlopu nie brało się co roku tylko co dwa i pół roku. Wolni z najmu - co pół roku dostawali 10% podwyżki, która dochodziła do stu procent. A urlopu dostawało się 53 dni. To był tzw. dodatek dalstrojowski" - za ciężkie warunki. To oczywiście wszystko było tylko dla ~~woln~~ nonaje mnych, ale jeszcze przed śmiercią Stalina. Ci wolni, na początku to byli głównie NKWD-ziści, dla których były - wspomniane już - specjalne sklepy.

Jeszcze w 1955 r., jak jechaliśmy przez Kołymę, to mężczyźni szli dziesięć kilometrów i więcej żeby zobaczyć żywą kobietę. Później zaczęły do tych wolnych przyjeżdżać rodziny - w odwiedziny. Przedtem to była po prostu d z i c z, w 50-tych latach pojawiły się wolne kobiety - konduktorki, fryzjerki. To mężczyźni przychodzili ciągle, żeby chociaż popatrzeć na kobietę, a gdyby jeszcze można było dotknąć jej..

W 54 r. kursował już prawie regularny autobus - Susuman-Bolszewik. Tam pracowała kobieta-konduktor. Autobus ten jechał przez Nowyj, Perspektywnyj, Użnyj siejmcaan. A do Magadanu był już pasażerski autobus - specjalny, z piecem węglowym pośrodku. Ale one jeździły jak chciały - nie wiadomo było czy przyjedzie i kiedy zawiezie do miejsca przeznaczenia.

Ja nie wierzę, żeby pani znalazła w Polsce stu Kołymczan, bo tylu nie ma - już nie żyją. Do Polski przyjechali ludzie tak chorzy i tak zniszczeni, że cud, że w ogóle jacyś z nas żyją. Ja nigdy nie przypuszczałam, że dożyję do wnuków i tylu lat. I twierdzę, że żyję na kredyt. Napisałam to w pamiętniku, który kiedyś pisałam dla swoich dzieci - nie

ZGPU /Zapadnowo Gornowo Uprawlenija/ - pan generał. I myśmy ~~to~~ ^{do tego generała} chodziły (kwiatki sadzić. A pomoc domowa generała to była więźniarka. Ona zawsze dla nas - jak przychodziłyśmy coś robić dla domu generała - ~~xxx~~ uszykowała coś do jedzenia. Każda z nas chciała jak częściej tam chodzić, marzyłyśmy, żeby te kwiatki pomarzkły i trzeba by nowe sadzić itp. Teoretycznie nas, z § 58 nie puszczano bez konwoja, ale nas jakoś puszczano, bo wiadomo było, że z Kołymy nikt nie ucieknie. Pamiętam, że kiedyś w kuchni u nich siedziałam, a pani generałowa jadła kraby z puszki, a ta nasza więźniarka-pomoc - mówi tak:" ja pani wyłożę to na talerzyk, bo więźniowie patrzą, że pani tak na stojąco z puszki je te kraby". Ona odpowiedziała, że ona wszystkie lepsze rzeczy może jeść z puszki. Ona sama nigdy nie dawała nam jeść. Tylko jak ktoś miał jakieś pieniądze, to kupowała dla nas coś w tym specjalnym sklepie. Sklep był dobrze zaopatrzony, ale ja w nim nigdy nie byłam, więc konkretnie nie wiem co było.

Chociaż przeszliśmy na "Bozraszcziot" - i dostawaliśmy pieniądze, to z nich płaciliśmy za wszystko: za konwój, za jedzenie, za kwatere ^{za strażników,} /w obozie/, za opał, za wszystko w obozie. ^z z tego dla nas zostawało 50 rubli, a kilogram chleba kosztował 200 rubli. Ale jednak te dni "zacziotnyje" opłacały się, bo wychodziło się z obozu wcześniej. I ~~w~~ jak się człowiek z tego obozu zwalniał, to resztkę tych pieniędzy, które odkładali na konto - wypłacali. Dodawali do tego obligacje pożyczki państwowej na którą nam też obcinali z tych naszych zarobków.

O numerach słyszałam, ale w Susumanie chyba w ogóle ich nie nosiłyśmy i do końca na apelach wywoływali tylko nazwiska. W moim "Żenokpie" nie nosiłyśmy. Słyszałam tylko, że w karnych kobiety nosiły.

Nasz obóz pracował dla sowchozu - dla "Agrobazy", a w Spornym pracowałam w fabryce samochodowej, ale przy budowie - kopałyśmy szurfy. Później kopałyśmy torf /suszyłyśmy i ładowałyśmy do transportu/. A później w Susumanie najpierw pracowałam na otwartym polu, potem w Agrobazie - w cieplarniach. Tam praca była ciężka, ale jakaś miła przy roślinach. Trzeba było palić w ^{ośmiu} ~~dwunastu~~ dużych piecach, w których paliło się nieraz i dwanaście wozów ^{drewna, które trzeba było zrabac'.}

I te dwanaście wozów drewna przypadało na jedną kobietę. Drewno było popiłowane, tylko trzeba było porąbać i nakładać do pieca. Ja do dzisiaj lepiej rąbię drzewo jak mój mąż.

Nasz naczelnik obozu z naczelnikiem przedsiębiorstwa zawsze się żarli bo nigdy się nie mogli zgodzić: jeden chciał więcej ludzi do pracy, drugi chciał więcej drzewa, węgla czy pomidorów, a oni jak chcieli to dali, jak nie chcieli to nie dali. A na tych konfliktach cierpieliśmy my. Np. jestem w Agrobazie, jest godz. 7 lub 8 wieczór, jestem po 12 godzinach pracy, a naczelnik obozu nie przysyła zmiany na noc. /bo się pokłócił z dyrektorem przedsiębiorstwa/. Więc ja muszę zostać na noc, nawet jak mnie będą chcieli puścić do obozu. Bo jeśli nikt nie będzie palił w piecach, to w nocy rośliny zmarzną, bo w nocy było np. -30 st. A jak to wszystko zmarznie, to jutro dostanę 10 lat [!] za sabotaż.

II B

A z kolei za to, że pracowałam ponad te 12 godzin, nie wróciłam na noc do obozu tylko pracowałam - to lecą dni zacziotnyje.

Wracając do chronologii wydarzeń:

W sierpniu 44 r., po wyroku, siedziałam w więzieniu. Wyrok ogłosiła "Trójka", która spytała coja bym chciała powiedzieć w ostatnim słowie. A ja, mało, że po rusku nie umiałam mówić, to pytam o czym może być to moje ostatnie słowo. Odpowiedział mi /przewodniczący "Trójki" - czy nie proszę o łaskawy wyrok itp. Odpowiedziałam, że "jak mnie nie powiesicie, to oddajcie mi moje zdjęcia". - o nic więcej nie proszę. I dostałam 10 lat. Siedziałam w różnych celach - w Zbarażu, w Krzemieńcu, przeważnie z Ukrainkami. Z więzienia do więzienia /np. ^(z Krzemieńca) do Dubna/ gnali nas piechotą, piątkami, przy każdej piątce był strażnik i psy. Szły same polityczne. W czasie tego marszu była podobno próba odbicia nas, rozlegały się strzały, wszystko leżało pokotem na ziemi. Ja się schowałam w rowie. Ale tych strzałów było bardzo mało i krótko trwały, mam wątpliwości czy to miało być odbicie nas.

Niosłam wtedy ze sobą koc zwinięty w węzełek na plecach. Niosłam tam m.in. tytoń, którego część rozdałam spotkanym po drodze chłopom. Ciężkie to było więc postanowiłam ten tobolek wyrzucić. Wzięłam tylko kurtkę, kobiecie idącej obok dałam swetr, zostawiłam sobie bieliznę i resztę wrzuciłam do rowu /m.in. garnek ze słoniną i jakimś jedzeniem/. Jeszcze widziałam, jak chłopci się na to rzucili. A obok mnie zaraz pojawił się konwój : kto to rzucił? Odpowiedziałam, że ja, bo mi było za ciężko. A nie wiedziałam, że oni boją się zostawiania takich śladów. a właściwie informacji.-grypsów itp. W Dubnie wywołują mnie. Podchodzę, a strażnik pyta czy to moje rzeczy i każe je zabierać. A oni wzięli to wszystko na furmankę - żeby śladów nie zostawiać.

Transport był w pierwszych dniach września. Pogoda była śliczna, ciepło. Wody nie dawali. W wagonie było nas tak dużo, że wszystkie ~~xxx~~ naraz nie mogły się położyć. Pamiętam, jak jechaliśmy przez Zaskawie, nad rzeką, miałyśmy krew na uszach od pragnienia i patrzyłyśmy na tę wodę..... Księżyc świecił pięknie i zupełnie jak tęcza odbijał się w tej rzece - jak na obrazach, które kiedyś oglądałam i myślałam, że są nieprawdziwe, bo nigdy czegoś takiego nie widziałam.

Do Charkowa jechaliśmy 10 albo 11 dni. Tam wpuścili nas do łaźni. Ubrania dali do prożarki. Wypuścili drugimi drzwiami i znowu do wagonu a tam w międzyczasie zrobili nary piętrowe i człowiek wreszcie mógł się położyć. Przedtem siedziałam na paraszy, bo nie mogłam wytrzymać tego ścisku i żeby ktoś na mnie leżał.

↓ dalej, w drodze to już wszystko zależało od strażników - czy chcieli dać wody czy nie chcieli, to samo z chlebem. Za podróż była już znoszona. Dojechaliśmy do Nowosybirsk. Tam znowu łaźnia i dalsza jazda. Aż pewnej nocy obudziłam się i przez okienko zobaczyłam napis na stacji - Amur. I wtedy już wiedziałam, że jadę na Kolumę, bo przed wojną przeczytałam taką gazetę /36 lub 37 r./, w której był artykuł: "Daleko, daleko na wschód od Amuru". I tam był opis jak wywożą ludzi na Kolumę. I była tam mowa o obozach i katorżnych pracach. I jak zobaczyłam nazwę tej stacji: Amur, to stanął mi w oczach ten artykuł.

W wagonie powiedziałam do dziewczyn: "Jedziemy na Kołymę".
Potem już nigdzie się nie zatrzymaliśmy, dopiero w Nachodce.
Tam w obozie przejściowym byliśmy dwa miesiące. Dobrze się nam ten obóz dał we znaki.

21 ~~kwietnia~~ grudnia 44 r. załadowali nas na statek - chyba nazywał się "Artyka". Jechaliśmy w bydłych ładowniach. Na pokład wychodziło się po desce z poprzeczkami - rodzaju drabiny. W ładowniach były nary. A cała podróż to była makabra: jeden rzygał, drugi jadł, trzeci spał, czwarty konał - wszystko było - zupełnie piekło.

Płynęliśmy 10 dni z łamaczem lodu.

1 stycznia 1945 r. o 6-ej rano zaczęli nas wyładowywać ze statku w Magadanie.

Było jasne, że szybko trzeba się zdecydować: czy zostać w Magadanie czy jechać dalej. Można było próbować znaleźć np. jakiegoś Polaka zatrudnionego w Magadanie i spróbować coś załatwić. Ja od razu w Magadanie znalazłam jednego Polaka - w obozie przejściowym.

Zaraz po przyjeździe była łaźnia i dali nam ubranie: kufajki, waciaki, czapki- "budionki", męskie koszule, ^{kalesony,} spodnie i buty. Udzieży kobiecej żadnej nie było wtedy. Buty były więc dla wszystkich za duże. Najmniejszy numer to była 40-ka/. To były tzw. burki - uszyte z waty, brezentu - pikowane jak kołdra. Pod spodem- wołok i guma. Jak wyszliśmy z łaźni to nie mogłyśmy siebie poznać. - okropnie wyglądałyśmy. Szczęście, że miałyśmy jeszcze trochę swoich rzeczy i tym się wyróżniał.

Tam było nas dwie Polki. - Wiera Gielecka, która została na Kołymie i Ukrainka z terenów wschodnich - Nastia Gawroni~~W~~. i ja. Trzymałyśmy się we trzy. A reszta to były rosjanki ~~z polikryzami~~ kryminalne.

III A

Poznałyśmy już trochę życie w Buchcie Nachodce i wiadomo było, że nie można nikomu wierzyć, nawet jak ktoś się podaje za Polaka, bo jako kobiety w tych czasach byłyśmy skazane na różne oszustwa ze strony otoczenia. Kobiet było tam wówczas bardzo mało i nie wiadomo było

czy nie będziemy w różny sposób wykorzystane. Spotkani Polacy radzili zostać w Magadanie, ale ja nie ufałam im i jak wyczytali nas, że mamy wyjeżdżać, to wsiadłyśmy na ten samochód-ciężarówkę ^{przeżyły z brzością} ~~we~~ trzy.

Zawieźli nas na Spornyj. Tam przeżyłyśmy zakończenie wojny. Wyszła amnestia. To było koło Jagodnego - południowe "uprawlenije". Spornyj to był mój pierwszy obóz pracy. W baraku mieszkało nas do 40 osób. Pierwszą "moją" dniewalną była tzw. ciocia "ala, która właśnie do tej naszej trójki odniosła bardzo dobrze. Tam było dużo kryminalnych, które strasznie klęły /matiukać - kląć/. Przy pierwszej naszej rozmowie ciocia wala sypnęła do nas kilkoma przekleństwami, więc ją poprosiłam, żeby do nas tak nie mówiła. Ona spytała, czy byłam już w jakimś obozie, odpowiedziałam, że nie. Zapewniła mnie, że po kilku latach w obozie też będę kląć. Odpowiedziałam jej: "ja raczej umrę niż będę przeklinać". I rzeczywiście, nauczyłam się, często mnie to nie raziło, bo to było nie po polsku, czasem sama zaklęłam, ale nigdy po polsku.

W Spornym przechodziłam aklimatyzację - bardzo ciężko. Pękały mi np. naczynka krwionośne na twarzy, ~~skóra~~ skóra zrobiła się tak sucha, że aż popękała. Pękały mi też naczynia krwionośne w oczach i do pracy musiałam chodzić zawinięta aż po brwi i w czarnych okularach przeciwsłonecznych. Bardzo mi tam było ciężko. Później coś rzuciło mi się na struny głosowe - półtora roku nie rozmawiałam, tylko szeptem. Mrozy były duże - widziałam na termometrach 60-62 stopnie.

Jeszcze po drodze do Spornego za trzymanyśmy się na posiłki w stołówkach obozowych. Tam - ponieważ byłyśmy kobietami - to lepiej nam dawali jeść. Wychaliśmy chyba z tydzień, bo konwojentom się nie spieszyło. Drogi wcale nie było widać - tylko gładka śnieżna przestrzeń wyznaczona co 5 metrów tyczkami z wiciami z igliwia. Stołówki, w których jadłyśmy były obstawione konwojem, bo tam mężczyźni po kilka lat nie widzieli kobiet - czasem szli po 10 km żeby zobaczyć kobietę. Widywałyśmy się tylko z kucharzami, którzy z politowaniem nad nami kiwali głowami. Pamiętam, że w jednym z takich obozów poszłam szukać jakiegoś

ustronnego miejsca - za węgiel czy za krzaczek, bo - jak na całej Kołmie z ustępami były trudności. Okazało się, że pilnował mnie kierowca z naszego samochodu, i jak wyszłam to mówi tak: "Dziewuszka uważaj, bo wpadniesz pod tramwaj". A ja wtedy nie wiedziałam, czy na Kołymie rzeczywiście są tramwaje i odpowiedziałam: "cóż wy myślicie, że ja tramwaju nie widziałam?". On się na to zaśmiał, ja później - jak się dowiedziałam co to jest - też się śmiałam.

W Spornym była baza samochodowa, remontowa, pracowałyśmy tam przy budowie - kopałyśmy szurfy i burki /otwory/. Tam byli też Polacy i jeden z nich przeniósł mnie do stolarni. Ale tam mi było bardzo źle, bo tam strasznie huczały maszyny, a mnie - w związku z aklimatyzacją - strasznie bolała głowa. Było ciepło, wszyscy starali się nam pomóc, tylko ten huk. Poza tym, na tej auto-bazie kobiet było bardzo mało więc bez przerwy nas zaczepiano i człowiek nigdy nie miał spokoju.

Po pewnym czasie zaczęli zabierać ludzi "na torf" - na lewy brzeg. Ostrzegano nas, że jest tam bardzo ciężko, bo miejsce jest odizolowane od świata, od komunikacji - za rzeką. Pomyślałam sobie, że właśnie o to chodzi, bo będziemy miały spokój.

Naczelnikiem na lewym brzegu był Lidowski, ze Lwowa, posądzam, że był Żydem, były więzień, rehabilitowany. Ale za co siedział i kim był - nie wnikałam. To było tuż po zakończeniu wojny, ale jeszcze nie było amnestii. Ten naczelnik ze Spornego zabierał ludzi do tego torfu. I pytał się, czy są Polki. I ktoś go przysłał do mnie. Początkowo nie chciałam z nim rozmawiać, ale jak mi powiedział, że jest ze Lwowa, to się odwróciłam, powiedziałam, że ja jestem z Tarnopola i powiedziałam mu, że ja chcę jechać na ten lewy brzeg. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że to on jest naczelnikiem tego "Torfu". Zapisalam siebie i Wierę Wiera na początku nie chciała, ale ją namówiłam, tłumacząc, że tam jest taki Polak, który nam załatwi jakąś lżejszą pracę.

Okazało się, że nas nie zawieźli na ten lewy brzeg, tylko na prawy - na saną autostradę - spadłyśmy z deszczu pod rynnę. Tam się zatrzymywali wszyscy przejezdni. A na lewy brzeg nas nie wzięli, bo tam byli

tylko mężczyźni, bo to kopanie torfu to była jednak bardzo ciężka praca. Na prawym brzegu też był torf - tylko przy autostradzie. I tam dopiero okazało się, że ten Lidowski jest tam naczelnikiem. I zrobił mnie od razu brygadzystką, a Wierę - brygadzystką w drugiej zmianie. Zaopatrzeniowcem tamtego magazynu był Żyd /nie polski/ - Abram. On nam zawsze coś podrzucał - trochę cukru, tłuszczu itp. - podobno na polecenie tego Lidowskiego. To było oczywiście robione po cichu - tylko dla nas dwóch.

Kopaliśmy ten torf, który wywoziło chyba z 50 samochodów od jednej brygady.. Tam też nas bez przerwy zaczepiali: "Dziewuszka, poznam się".... Ja na początku myślałam, że to naprawdę chodzi o zapoznanie się /miałam wtedy niecałe 21 lat/, więc każdemu odpowiadałam twierdząco. Skończyło się to tak, że pewnego dnia zjechało się co najmniej kilku facetów i każdy: do Jany i do Jany. Ja wtedy byłam daleko w polu przy kopaniu tego torfu i konwojent przychodzi do mnie i mówi: "Jana, jest źle, bo ich się tylu zebrało, że ty żywa stąd nie wyjdiesz". Ja nawet nie wiedziałam, czy to byli błatnyje, czy inni. Wsadzili mnie do furgonetki z torfem, nakryli torfem, dowieźli do autostrady, potem ze mną szedł konwój ze strzelbą, a tamci z nożami czekali na polu. Konwój od razu odprowadził mnie do obozu. Mnie się zrobiło wstyd, bo Lidowski nam pomagał, a ja się tu tak zachowałam, jakbym rzeczywiście na coś liczyła. Przez tydzień nie chodziłam do pracy, bo ciągle jacyś przyjeżdżali i czekali na mnie. Potem dali sobie spokój. Była to dla mnie bardzo ostra nauczka, a skończyło się zabranieniem nas z tego "torfu". Wyjeżdżało nas stamtąd ok. 100 osób, bo reszta została zwolniona w ramach tej amnestii, która była tylko dla kryminalnych. Zawieźli nas ~~znowu~~ do ^{Susumanu} ~~Susumanu~~. Tu należy podkreślić podejście tego Lidowskiego. Przyjechał po nas taki czarny "woron". - z przodu część była otwarta, z tyłu zamknięta. Lidowski wszedł do tej części otwartej, posadził mnie i Wierę w najlepszych miejscach, życzył nam wszystkiego dobrego. "powinniśmy - jako polityczne - jechać w tej zamkniętej budzie, w której było bardzo gorąco i ciasno i słysznie *Angelo, tak, że się dostawało morskiej choroby.*

Dojechaliśmy do Susumanu, gdzie ulokowano nas w sowchozie. Na początku kazali nam rwać rzepę. Okazało się, że wcale nie była to lekka praca i trudno było wykonać normę. Pracowało się na polu 10 godzin. Była już jesień i zimno było bardzo. Nawet jak się poszło za swoją potrzebą, to trudno było się z powrotem pozapinać, tak ręce grabiały. Tylko jakaś siła wewnętrzna, wiara w to, że coś się może zmienić, że jeszcze dzień, dwa i może będzie lepiej - pozwalały przetrwać to zimno i głód.

Później, w zimie, były różne prace pomocnicze - noszenie zmarzniętej ziemi do szklarni, przygotowywanie do wiosny, później palenie w piecach. I tam zaczęli szukać ludzi bardziej odpowiedzialnych w pracy. W związku z tym wzięli do pewnych prac i na stanowiska - politycznych.

Do tej pory kobietom najbardziej dokuczało: brak wody i wszystkiego, co wiązało się z higieną osobistą. Nie było żadnych środków sanitarnych, żadnej waty, ligniny, nic... W "Torfie" łaźnię miałyśmy w obozie, natomiast w Susumanie do łaźni miałyśmy dwa kilometry. Prowadzili nas tam raz na tydzień i dawali dwa czerpaki wody - nie wiadomo było co myć. Myłyśmy się biustonoszem lub majtkami, bo od razu się je prało /o ręcznikach nie było mowy/. W lecie było jako tako, ale w zimie, zanim człowiek przyszedł z tej łaźni do obozu, to włosy przymarzły do chustki.

Kiedyś był taki przypadek: przyszliśmy do łaźni, a tam jak zwykle zebrał się już tłumek mężczyzn, żeby popatrzeć na kobiety. Każdy z nich miał spirytus i częstował ~~nas~~ naszego konwojenta. A on pewno też był głodny jak my, bo po całym dniu pracy i szybko się upił. i nie nadawał się nawet do marszu. My po łaźni - stałyśmy i czekałyśmy, było zimno, więc trzeba było coś zrobić. Jedna wzięła go pod jedną pachę, druga pod drugą, ja wzięłam karabin - i do obozu. Postawiłyśmy go przed wartą - szczypiąc, żeby trochę otrzeźwiał i stał na nogach, karabin mu wsadziłam w ręce i kazałyśmy mu iść na wychtę, żeby nas przyjęli.

A na wachcie - też było różnie: jak się trafiło na człowieka, to od razu po tej łaźni puszczal nas do baraku, ale jak był inny - to potrafił nas trzymać pod bramą obozu, za to, że jakoby myśmy go specjalnie

upili. A przecież naszej winy nie było żadnej.

Mężczyźni po drodze nas zaczepiali, ale jak szliśmy grupą, to nic nie zrobili. Niebezpieczeństwo oczywiście czyhało z każdej strony, ale jak człowiek nie oddzielał się od grupy, to niewiele groziło.

Od wiosny, jak całą dobę zaczęło się robić jasno, to pracowało się dzień i noc. ^{Przeważnie} ~~niektórzy~~ ^{się} pracowali na Agrobazie, ~~inne~~ po 12 godzin. Później wpisywali nam Zaciotnyje dni, przywozili zupę, kaszę - dbali o nas, bo to był gorący czas, a zależało im na tej Agrobazie.

Agrobaza była tak samo jak obóz ogrodzona i z wyszkami. Za ogrodzeniem były poletka, na których też ludzie pracowali hodując ~~swój~~ kapustę - ^{sadzac wyhodowana przez nas} ~~korzywką~~ rozsady. Kapusta w lecie rosła w oczach. Dbali o nią, bo to była podstawa wyżywienia w obozach - jedyną jarzyną. W okresie wytężonej pracy na polu z obozu wypędzali wszystkich ~~ludzi~~ - nawet błatnych /recydywę/, którzy z zasady nie pracowali. Ale na polu zawsze jakąś grządkę posadziły. Pewnego razu na polu pracowała taka Rosołowa - wszyscy się dziwili, bo nigdy tak nie robiła, przyglądając się, a ona sadi tę kapustę korzeniami do góry. To był taki rodzaj sabotażu.

Ja pracowałam porządnie, ale dlatego, że nie było wyjścia, a po drugie, jeśli ktoś pracował na Agrobazie, i nie wykonał swego zadania, /np. nie napalił w piecu i rośliny zmarzną/ - to szedł pod sąd. A poza tym, gdybyśmy my nie pracowali - polityczni, to ci błatnyje by nas podobijali, bo oni naszym kosztem żyli - mieli normę i jedzenie. Myśmy sobie doskonale zdawali sprawę, że jeśli chcesz przeżyć, to musisz pracować. To dla nas nie było upokorzenie, czy poddanie się - to był warunek przeżycia. Poza tym to podejście uczciwe do pracy - jakakolwiek by nie była - to był też dowód, że człowiek pozostał człowiekiem. Za to byliśmy nawet szanowani przez władze - np. przez naczelników pryiska, czy Agrobazy.

III B

Jak człowiek dostał się do brygady, w której były np. dwie polityczne, a reszta błatnyje, to trzeba było pracować za nie.

Ale pewnego razu skorzystałam na tym. Jednego dnia nie ~~robiliśmy~~ miałyśmy co robić i ludzie się rozpierzchli i co kto chciał to robił. Agrom widocznie chciał mnie czymś ukarać, wykorzystał sytuację, w dodatku jakiś muzułmanin poskarżył, że ludzie nie pracują i smoły nie ma, i naczelnik sowchozu wyznaczył mnie do pracy do kopalni. Zrobił zebranie całej brygady, mnie pochwalił, że dobrze pracuję, ale jestem zbyt samowolna i za to mam jechać na kopalnię.

A mnie było tak wszystko jedno, że z tego zebrania wyszłam. On się wściekł, a naczelnik obozu powiedział tak: "Jeżeli my takich ludzi jak ona będziemy wysyłać do kopalni, to kto tu będzie pracować? Znajdziemy dla Gołdy inną pracę, jak jej nie chcą na Agrobazie". I wysłał mnie do składu węgla.

Tam praca była ciężka. Tam spotkałam Tatrzyzna, który też pracował na Agrobazie. Miał okropny szkorbut i ja mu - pracując jeszcze przy pomidorach - dałam kilka. I jemu przy rewizji w obozie - znaleźli te pomidory, ale nie wydał mnie i jego za karę wysłali do tego składu węgla. Jego w lecie, a mnie w zimie. To był już stary człowiek i nie mogli go już wysłać do kopalni. Został stróżem przy tym składzie węgla i tam się spotkaliśmy. Często pomagał mi przy załadunku węgla / $\frac{1}{2}$ ton na dwie/osoby/.

W składzie węgla byłam do wiosny i znów mnie zabrali do Agrobazy. To był 48 lub 49 rok.

Wolnili mnie z obozu w 1954 r. i od razu skontaktowaliśmy się z moim przyszłym mężem.

ciąg dalszy - w relacji p. Stanisława W.

Pan Stanisław - uzupełnienie:

W 1942 r. usiłowałem uciec i w Jagodnem dostałem drugi wyrok - § 58 p. 14 - "pobieda" - ucieczka. I przerwali mnie na pryisk Dzyngala - katorżny łagier i tam nosiliśmy numery. /na czapce i na plecach/.

W okresie, kiedy pracowałem na spycharce do konserwacji był potrzebny smar- tawot /towot?/. Jak tego smaru zabrakło, a maszyny musiały być posmarowane, to oni potrafili do punktu konserwacji samochodowej przysłać skrzynki masła - jadalnego, w tych skrzynkach robili butelkami dziury, zalewali je benzyną i wtedy to masło - niezdatne już do jedzenia - używali do smarowania maszyn. A więc masło w magazynach było, tylko nie dla więźniów. Do maszyn musiało być. To masło m.in. było przysyłane z Ameryki.

List pisany przez ojca p. Stanisława Węgrzynowskiego do syna (Stanisław)
przebywającego na zesłce na Kołymie.

Lódź, dnia 19 sierpnia
1955 r.

Janeczko i Dodziku Skarby Nasze Umiłowane!

Listy Wasze pisane dnia 18 lipca br. i telegramę z dn. 11. VIII br. otrzymaliśmy 13 sierpnia br. za co Was po niezliczone razy najserdeczniej całujemy. Wolelibysmy co prawda konkretne wiadomości, że już ruszacie w drogę i za te kilka czy kilkanaście obliczonych dni będziecie już z nami. No, ale trudno nie zależy to ani od nas ani też od Was, może P. Bóg da, że te cierpienia nasze wkrótce skończą się, a wtedy będziemy najszczęśliwsi z rodziców na świecie.

Jak Wam już pewno wiadomo z mojego ostatniego listu pisanego 31. VII br. i karty widokówki z Krakowa z dn. 3.08.55 byłem w Sanoku od dn. 4. VIII do 9. VIII. Mamusia natomiast siedziała tam od 5 lipca br i przyjechała dopiero razem ze mną. W czasie naszego pobytu zdążyliśmy poznać całą Rodzinę Janeczki, są to bardzo zacni i kochani ludzie, bardzo cieszymy się z naszego tam pobytu. Żyłismy się tak jakbyśmy już od lat znali się, przez cały czas naszego tam pobytu wszyscy razem z Państwem Kinelskimi żyliśmy Wami i radowaliśmy się Waszym szczęściem wspólnym. Jestem pewien, że po Waszym powrocie do Kraju będziemy wszyscy szczęśliwi. Ja przy okazji spotkałem dużo swoich znajomych i podwładnych z dawnych lat. Wszyscy oni znają i Ciebie Dodziku i bardzo mile wspominają Was z Perzykiem. Sanok bardzo dużo zmienił się od tych lat na gorsze, brak tego życia i dawnego jego zewnętrznego wyglądu, no ale trudno, wszyscy starzejemy się więc zmiany muszą być.

A teraz opiszę Wam pewien fragment /tragikomedię/ z mego pobytu w Sanoku, tylko nie popękajcie od śmiechu. W drugim dniu mego tam pobytu ok. godz. 7-ej rano siostra Pana Tadzika /męża p. Zosi/ przyleciała zdyszana z telegramą w ręku następującej treści:

Warszawa 55.3/8. Z. Gosztyło dla Węgrzynowskiej Emilii w Sanoku
ul. Daszyńskiego 40.

Przyjeżdżamy w sobotę rano

Janka

Depesza ta wpadła w ręce naszej przezacnej entuzjastce mamusi Emilii Ludzie kochani, żebyście przy tym byli najśmiejw płakałibyscie, cieszyli a potem bez przerwy 3 godziny spazmatycznie śmiali się, jak schwyciła tę depeszę, jak zaczęła skakać do góry, szaleć i latać po schodach na dół i do góry z krzykiem: nasze kochane dzieci już w Warszawie, już u nas będą w sobotę! Krzyk ten zmobilizował całą rodzinę. W try miga wszyscy zaczęli sobie padać w ramiona z radości, z płaczem całując się wzajemnie

- kto kogo popadł i trwałoby to, mam wrażenie, bez końca, gdyby Mamusia nie uroznaiciła tej imprezy zemdleniem sciskając depeszę w rękę i krzyżując: nasza Janeczka i Dodzik już są u nas - upadła. Ma się rozumieć co było wody pod ręką wylałem na nią, potem z panem Tadzikiem zaniesliśmy ją do pokoju na łóżko i potrochu doszła do siebie, sciskając w dalszym ciągu raz depeszę, mnie i kogo jej popadło. To był akt I-szy.

Teraz nie koniec na tym. Kiedy już niebezpieczeństwo minęło, przystąpiono natychmiast do przygotowań przyjęcia Was, a więc jednogłownie uchwalono przede wszystkim zawiadomić najbliższą rodzinę. W związku z tym pani Zofia wzięła 4-ry dni urlopu, wysłała depeszę do pana Wilusia do Wrocławia, do p. Grodzickich do Warszawy no i do was abyscie niezwlekali do soboty a przyjeżdżali natychmiast. Ja, ma się rozumieć, zawiadomiłem Wolę, że po przyjeździe Waszym do Sanoka razem w czwórkę pojedziemy na Wolę. Janeczki Tatus ze Stasiem wzięli się do gruntownego robienia porządku na podwórku przed domem, i w domu, mimo, że był wzorowy porządek. Wszystko szło od początku, nie było bezrobotnych, każdy miał co robić, nawet my z panem Tadzikiem z tej radości za Wasz pomysłny powrót zaczęliśmy uroczyste "Ob-
lewanie". Pomogli nam potem wszyscy domownicy i przyjaciele, jak p. Kinelscy, którzy niewiadomo kiedy dowiedzieli się i przyszli nam gratulować. Pani Bronia też wzięła sobie urlop i też z nami piła. Pan Tadzik /brat/ i bratowa Zosia itd. W czasie obiadu ustalono kto wyjdzie na Wasze spotkanie na dworzec, całkowicie wykluczono kobiety, a przede wszystkim obie mamusie. Postanowiono, że wyjdą tylko ojcowie, szwagier, bracia i pan Kinelski, reszta rodziny oczekiwać nas będzie w domu, od piątku postanowiono już wychodzić na dworzec. Zaraz w pierwszym dzień nasza Mamusia postąpiła wbrew powziętej uchwale i poszła na dworzec, o tym napiszę niżej. Pod koniec obiadu poprosiłem Mamusię aby pokazała mi na chwilę tę depeszę pieczołowicie przechowywaną za biustonoszem. Wyciągnęła i dała mi ją. Po dokładnym przestudiowaniu, powiedziałem jej w sekrecie, że depesza ta nie jest od Was. Początkowo obsztorcowała mnie też w swkrecie, że znów nie wierzę, że stale jestem pesymistą, ale po zdaniu jej kilka pytań zaczęła nabierać do mych uwag zaufania. Prosiłem ją, aby narazie nikomu nic nie mówiła, wytrzymała parę godzin, ale niedługo podzieliła się z tym z p. Zofią, a następnie wiadomość rozeszła się błyskawicznie po całej rodzinie. Znów dyskusje, uwagi, tak i nie tak, w końcu orzeczono, że: bezwzględnie od naszej Janki, tylko może pomyłkowo nie dopisała poczta imienia Dodzik, ale to nikt inny tylko oni. Trudno, niech będą Oni, daj Boże, żeby byli Oni. W sobotę rano w Wazzejej untencji poszliśmy wszyscy na Mszę Świętą, a o godz. 11 m.30 wszyscy wyżej wym. mężczyźni poszliśmy na stację Miasto Sanok. Po wejściu pociągu na stację Wytrzeszczaliśmy swoje gały ile się dało, no niestety, nic z tego. Nie dalismo za wygrane, wszyscy wsiedliśmy do pociągu i rozproszeni w tyralierkę przeszliśmy wszystkie wagony. pa/

Po przyjeździe pociągu na główną st. Sanok wysiedliśmy i znów szukaliśmy Was wśród wysiadających pasażerów, niestety nie było Was. Z poopuszczanymi głowami, bez słowa, wracaliśmy jak z pogrzebu, dochodząc do domu. Przed domem i na schodach Isia i Elżunia stały z kwiatami, Mamusia i P. Zosia oknem ze strychu patrzyły na nas z żalem, że wracamy bez Was. Ciężko było wypowiedzieć się, stwierdzono tylko jednogłосnie, że tym razem ja miałem rację i aby to jakos doprowadzić do równowagi, na te smutki wzięliśmy się znów do wódki, ale przed tym wystąpiono z wnioskiem, aby wysłane depesze jakos wyklarować. Podjęła się tej misji znowu P. Zofia. Na Wolę nic nie prostowałem i powiedziałem sobie - niech tam na nas czekają i tak też się stało.

W sobotę miałem już być w Łodzi, ale ze względu na Wasz przyjazd nie pojechałem, zostaliśmy do poniedziałku. W ogóle już nawet wcale mi się nie spieszyło. W niedzielę z całą rodziną byliśmy na obiedzie jak się patrzy u Brata Tadzika/..... Na pocieszenie powiedziałem wszystkim, że napewno przyjedziecie, a to należy potraktować jako próbny alarm. Mamusię też pocieszyłem, że to zemdleńie, jakkolwiek zawcześnie, ale też ma dobre strony, bo już będziemy wiedzieli jak dużo przygotować wody i zaoszczędzić sił aby ją można przynajmniej w trzech zaniesć na łóżko /mam tu na myśli, że pomoże nam już Dodzik/, prosiłem ją tylko, aby czynność wykonała możliwie jak najbliżej łóżka, Tak mniej więcej kończy się akt drugi.

W poniedziałek o godz. 19m.30 cała rodzina sanocka z Waszymi kwiatami odprowadzała nas na dworzec. " wielkim żalem odjeżdżaliśmy po tylu wzruszeniach i miłych przeżyciach - może po raz pierwszy w życiu po utracie Was czuliśmy się tak szczęśliwie i swojo między ludźmi związanymi z nami jednym losem, jednym pragnieniem i jednym wspólnym celem.

Do Łodzi przyjechalismy we wtorek i zaraz wysłaliśmy do Was telegramę, na którą otrzymaliśmy już wyż. wym. odpowiedź. W środę w nocy wyjechalismy na Wolę, w czwartek o godz. 5 przyjechalismy autem do Rzucowa. Po drodze kto nas spotykał patrzył się pytająco - a gdzie Oni /Wy/, co się stało? Przed domem Stefek - gdzież młodzi, czego nas bujacie, gdzieście ich schowali i znów ci człowieku nie wierzą. W całej posesji porządek jak się patrzy, przed oknami ślicznie zasadzone kwiaty, w domu ład i dostatek jak w bajce. Wiadomość o naszym przyjeździe błyskawicznie dotarła do Ciotki Heli, zaraz przyleciał Walek, znowuż to samo, przysięgaj człowieku - nie wierzą ci, ale atakują - gdzieście ich schowali, nie róbcie kawałów, gdzie oni są, na nic tłumaczenia i wyjaśnienia - nie wierzą i basta. Czas zrobił swoje - to co uważali za żarty musieli uznać za rzeczywistość. Ciotka Helena powiedziała: jak tylko dostaliśmy od Was telegramę o przyjeździe naszych ukochanych mielibyśmy zabić zaraz wieprzka, całe szczęście żeście nie podali dokładnie daty przyjazdu i dlatego wstrzymaliśmy się do waszego

przyjazdu aby wyroby były świeże. Walek, idź daj wieprzkowi jessć - niech dalej rosnie i tuczy się, napewno doczeka się ich przyjazdu. I znów na pocieszenie wódka itp.

Jak widzicie moi Ukochani musicie się spieszyć, bo wieprzak naprawdę jest w takim stanie, że długo czekać nie można, a został tylko on jeden, bo wino, wódka i piwo wszystko popłynęło tak w Sanoku, jak w Łodzi i na Woli. Tak wygląda akt trzeci.

A teraz epilog: rzecz prosta Ciotka Janka Barejowa /Madejówna/ z Warszawy - koleżanka szkolna Mamusi - depeszę tę nadała z Warszawy do Sanoka, że przyjeżdża na Wolę zgodnie z rozmową z Mamusią podczas jej pobytu w Warszawie. I ona narobiła nam tyle radości i zamieszania w obydwóch rodzinach. Po przyjeździe na Wolę zastaliśmy ją w naszym mieszkaniu oczekującą również Waszego przyjazdu z nami w sobotę na Wolę.

Opisałem Wam to pokrótce. Dużo więcej dowiecie się i usmiejecie po powrocie. Jest tu tyle pociesznych fragmentów, że ja po dwóch tygodniach śmieję się na ich wspomnienie do łez. Przyjeżdżajcie więc nasi nandrości i z utęsknieniem wyczekiwani jaknajprędzej.

Pisałem Wam to na maszynie, abyście mogli bez trudności przeczytać, u nas wszystko po staremu. Mamusia została na wsi, listy Wasze i telegramę już jej wysłałem. Piszcie, depeszujcie, a najlepiej wracajcie do domu jak najszybciej, bo my tu już oszalejemy. Wszyscy tak w Sanoku jak Woli i u nas jesteśmy zdrowi i powodzi nam się dobrze, brak nam tylko Was.

Mocno..... razy Was całujemy

Wasi Rodzice
Łódź - Sanok

Joanna Węgrzynowska

z. d. Gołda, nr 4 grudnia 1924 r.

Mieszkałam i chodziłam do szkoły w Tarnopolu. Do Armii Krajowej wstąpiłam w 1943 r., przyjęłam ps. „Izka”. Grzysięę składałam u Pana ps. „Dziadka” przy ul. Kraszewskiego. Byłam łączniczką, wysyłano mnie poza Tarnopol, n. p. Łloczów Brzezany.

Oprócz tego w domu moich Rodziców, przy ul. Brzozowej znajdował się cyklostyl (albo porielacz, jedna drukarka dwie maszyny) przychodziła gazeta „Gołak Kresowy” nazywana „Kresorjak” i młotki. Ja przynosiłam od maszynistki matryce, gotowe do pracy. Wypraszałam paczki stronkami wydrukowanej gazety. Składane były poza naszym domem n. p. u P. pr. Lejczak, przy ul. Lelewela.

Praca i konserwacja drukarki należała do F. ps. "Kozioła". Moja praca przy drukarce była pracą dodatkową, mniej obcych ludzi knęciło się koło domu ^{nażreknym redaktor} gazety ¹⁹³¹ "Kazik". Tu trzeba nadmienić, że Golskie podmieście w Tarnopolu rozrzucało się słabo.

Tarnopol miasto powojenne, ale małe, do tego w 1939-40 r. Rosjanie przy pomocy Ukraińców zniszczyli Polaków. Następnie w 1942 r. również przy pomocy Ukraińców Niemcy zniszczyli Żydów. Nie liczne Golskie domy były bardzo marazone no różne wykonywane z ~~z~~ zymordowaniem. W końcu 1943 a szczególnie w styczniu 44 r. Ukraińcy mocno dali znać o swojej progości do Polaków.

W marcu 1944 r. Rusecy wkroczyli do Tarnopola, między Niemcy wyparli ich, zaczęła się walka o każdy budynek.

44

W drugiej połowie kwietnia. Rosjanie ostatecznie zajęli miasto prawie całkowicie zniszczone. Władze od razu przystąpiły do pracy, jakby nigdy z tego nie wychodziły. Inów zaczęły się arekstorowania. ~~za~~ Zostałam arekstorowana 22 maja 44r. w Tarnopolu. Sędztwo i sąd odbył się w Lwowie w precyzyjnym miejscu, dokładnie nie pamiętam. Sądził mnie Srojka Wojenna z paragrafu 58³ (co mówi o łączności i pomocy zachodniej burżuazji i Europy) rynek 10 lat obozów pracy i 5 pozbawienia praw obywatelskich.

Z Lwowa wszystkich różni politycznych pierzo gonili do Kremienica, następnie do Dubna. Z Dubna do Równego na dworzec kolejowy przewieźli nas samochodami. Załadowali do wagonów bydłowych i 10 dni

jechaliśmy do Charkowa. Droga była
bardzo ciężka. To był przesilenie, ciepło, w
wagonie duszno, bardzo ciasno,
brak wody. Przez 10 dni, ani raz nie
wyprzewadzili nas z wagonów. Jak po-
ciąg jechał to jeszcze można było wytkny-
nąć, ale jak stał to była makabra.

W Charkowie zaprowadzili nas do łazienki,
za ten czas w wagonach zrobili nary.
To była dla nas prawdziwa niespodzianka,
wzrostki równocześnie mogliśmy
się położyć. Do Buchta Nachodki jecha-
liśmy 2 miesiące. W miarę tego jak po-
suwaliśmy się na wschód, było chłodniej,
łazienki znosiło się brak wody. A jak za-
częły obmarzać ściany wagonu, to
każda miała swoje poletko do wydra-
pania.

W Buchta Nachodce też byłem prawie
2 miesiące. Tu pierwszy raz zetknęłam

się ze światem o którym nie miałam
 pojęcia. W obozie siedziła mafia, recydyw
 i najgorszy margines społeczny. Ochrony
 (militantów) na terenie obozu w ogóle
 nie było. Tu ukradli mi buty, bo zos-
 tażałam pod narawami (Łóżkiem), a to
 trzeba było potrozić pod głowę. Wszystko
 trzeba było mieć, na sobie i pod sobą,
 a żeby nie ukradły. Droga właściwie do-
 piero rozpoczynałam, a już ją można
 dzielić na etapy i to każdy gorszy.
Przed Bożym Narodzeniem ^{12.44} zatrudniali
 nas na statek, o ile pamiętam, by-
 ła to „Artyka”. Ładownia dwiema, wy-
 ka, many pistrowe, trap do wyjścia na
 pokład, to kilka desek zbitych po-
 poręcznymi szebelami. Głynchysmy
z Łamaczem lodu, zima, mroźna,
morska choroba, bardzo zaraźliwa.
 Ludzie słabsi, nie są w stanie

ostać rzyjść na pokład. Choć tym pok-
ład był oblodzony, tylko prtoniek zdrowy
i silny mógł się utrzymać ^{na nogach}, lekko moż-
na było zeszliwać się do morza a reki-
my tylko czekały. To było okropne, smród
i brak wody dobijał nas. I nikogo nie by-
ło, nikogo nie obchodziło, ile nas doje-
dzie, matka przysłała następną. Tak, to
trzeba przesiąść, zobaczyci ażeby zrozumieć.
Do Magadanu dopłynęliśmy 1 stycznia,
Prosto ze statku zaprowadzili nas do kaimu.
Ważniowie, pracownicy kaimu radzili nam,
ażeby się stanąć w Magadanie.
Może byłoby i lepiej, ale byłem tak zmę-
czona, że było mi obojętne co ze mną
zrobisz. Gdy wywołali mnie na tran-
sport, byłem przekłosa, że jadę
z koleżanką, Folkę Wierz bielecką
z Czortkova. Jechaliśmy kilka dni, nie pa-
miętam, ile, około tygodnia. Grzybieżli

nas na osiedle Sporny, na rozbudowę
autobazy, robiliśmy rykop pod budowę.
W maju 45r. przenieśli nas na osiedle
Forń. Specjalnymi łopatami kopaliśmy
torf, następnie wywoziliśmy do drogi
i układaliśmy do suszenia.

Tu spotkałam Polaka ze Lwova, imię Li-
dovskiego, imienia nie pamiętam.
Na Kółkę trafił jako więzień, pozosta-
tał rehabilitowany, był naczelnikiem
osiedla Forń i przedsiębiorstwa Forń.
Bardzo starał się nam pomóc, było
nas tylko dwie Polki, ~~jak myślałam~~.
Nie byliśmy głodne i byliśmy na-
bliższej pracy, dzięki niemu.
W marcu 1945r. przenieśli nas do
Susumanu, obóz duży, płaciliśmy dwa
obozy, męski i żeński. O te obozy to
chyba do dziś istnieje. W Susumanie
pracowałam do końca roku, że

zmiennym szczęściem. Najdłużej pra-
cowaliśmy na agrobazie. W składowach
najciszej było na wiosnę, jeszcze mroz 20°
na dworze a w składowi musi być $10-15^{\circ}$ ciep-
ła. Pracowaliśmy po 10 godz dziennie, koło
miało 2 składowie, 8 dużych pieców.

Co dziennie trzeba było porządkować i spa-
lić około 12 wozów drewna. 6 pojemni-
ków 200 m^2 ziemi co dnia. Trzeba było
stać trochę pomazać, żeby szybciej roz-
marzała. Nigdy nasza praca nie
kończyła się po 10 godz. Właśnie
jak już były posadzone rośliny.

Często między kierownictwem obozu
a kier. sawchozu rzykały nieporozu-
mienia, my również nie na tym
najwięcej traciliśmy. n. p. nadzelnik
obozu karał brygadzistów po 10 godz
zabierać ludzi do obozu, ~~by~~ a zmia-
ny nie wystarczy. Brygadziści polecenie

Władze.

nie wykonać, ludzi nie zabrać, zakrekać
na zmianę, za kogo zabierali ~~trzy~~
dni zakreślenie, za miesiąc a nawet za
kwartał. Gdyby brigadziści ludzi zabrać
i rośliny zmarzły, nadzelnik sawchoza
oddałby pod sąd za sabotaż.

W podobnej sytuacji ja się znalazłam,
za mnie podporządkowanie się zostało
pystano na siano kosy. Po trzech mie-
siącach prócitam na ogrobacie. Drugi
raz było trochę gorzej, również za mnie pod-
porządkowanie się, ten sam agronom,
oddał mnie do dyspozycji obozu z ust-
sunowaniem - za mnie podporządkowa-
nie do kopalni złota - Nadzelnik obozu
do kopalni mnie nie pustył ale znalaz-
łam się na składzie węgla.

Na ogrobacie było również, było ciężko
ale była woda, można się było obmyć, wy-
prać w szklarni wysuszyć. Lepsze moż-

na było zamknąć się i choć na chwilkę
nikogo nie widzieć. Agrobary była ogro-
drona, był strażnik, był spokój. Jak
dojrzały pomidory to można było zjeść,
nie wolno było dawać nikomu ani
wynosić. Zarazę gdzieś tam w kąciku
skłarni można kwiatka posadzić, naj-
częściej były to astry, bo łatwo przechowy-
wać nasienie. Z agrobary ~~do~~ za kawał
do innych prac, zaraz wysyłał mnie
agronom i on mnie zabierał spowrotem.
W 49 roku byłam przetranszowana na stad węgle,
praca ciężka i bardzo trudna. Porzą-
dkowałyśmy samochody "Tatry" z przyce-
pami po 18 ton węgla, na taką Tatrz stawa-
ło 4 osoby. Do ładowania samochodów
3-4 t. stawało 2 osoby, do ładowania 7 t
stawało 3 osoby. ^{Właściciel składowiska węgla} Byłam pracic 7 miesięcy
myślałam że na agrobary już nie wró-
cę, jednak 20 kwietnia zostałam skiero-

szana na agrobazę. Uciekałam się choć trochę, wiedziałam że trudno mi będzie z tym agnencem pracować. Ja byłam dobrą pracownicą, zrobiłam kurs „praca mierzna”, to się rozjechało naszej szkole zawodowej, dobry pracownik ale niepokorny.

Na Holymie nie było kobiet, nie skłoniło, jeżeli powiem, że 100 mężczyzn przypadło na jedną kobietę. To było dodatkowe zagrożenie dla nas. Czy to był wolny, czy były więzieni, czy więzieni, w zależności jakie stanowisko zajmował takie było zagrożenie. Im wyższe stanowisko, tym piękne zagrożenie.

Chociaż jeszcze na skład wjeżdża. Od 20 kwietnia pracowałam na agrobazie, a 1 maja strażnik zastrzelił 17 osób i trzy ranił z brzojdy o którejś mnie zabrali. Przez tego zginęło 8 osób wolnych. Nikt nie potrafi wy tłumaczyć dlaczego ~~to~~ to zrobił. Młody człowiek, poborczy Azyata, po Rusku mówił na poziomie „Kali być dobry” Widocznie nie przybrał obecności a zrazem obcał kobiety pokół siebie.

Przez cały okres pobytu w obozach na Koly-
mie w kraju obcym, surowym, i nieprzy-
jaznym i zimnym, głód chłód i ciężka
fizyczna praca, to było nasze życie na
co dzień. No ale czego można się było spo-
dieszać w kraju gdzie, jak już wspomina-
tam nie było kobiet, nie mieli nas w
co ubrać. Maska białona, rasciaki, ku-
łaja burki (buty) najmniejszy 40 nr. i
croпки budzionki. Gdzie mroz ponad
60°, gdzie w zimie ciemne dni a w le-
cie białe noce, gdzie nawet owies nie
dojrzeva, gdzie liwy się tylko złoto i nic
poza tym. Jak to ~~si~~ wszystko dało się
przeżyć nie wiem, napewno miałam
silny organizm ale i tuł męczeń-
musiał być, tym bardziej że nie na-
leżałam do tych co to wszystko bier-
nie przyjmują.

Męża spotkałam w 46 r. myślałam że spotkanie
 to było wielkim wydarzeniem dla nas oboj-
 ga. Oboje byliśmy z jednego miasta (może
 mierkat w Jarńopolu) mieliśmy wspólnych
 znajomych. W takim ~~pięknie~~ ~~spiepodziwianiu~~
~~nie~~ ~~spodzierwanie~~ spotkać ~~wtorek~~ z
 którym można porozmawiać o wspól-
 nych znajomych o szkole a jeszcze po
 Golstku to jest przeżycie. Ja w pierwszej
 chwili nie widziałam w nim męża,
 widziałam ojca matkę siostrę, coś
 tak bliskiego, co nawet nie umię okre-
 ślić. Widzieliśmy się parę razy, jego za-
 brali na „przyisk” (kopalnia) a ja zosta-
 lam w Susumanie do końca przyisku.
 Mąż po zwolnieniu z oboru ~~prócił~~ do mnie
 do Susumanu, ~~jak~~ ~~czynie~~ ~~zawdzi~~
~~zobraz~~ następnie zamierkali-
 my na „Perspektywonym”. Ślubu nie
 braliśmy, ~~bo~~ ~~to~~ ~~całkowicie~~ ~~nie~~ ~~można~~
 wziąć a cywilnego nie wzięliśmy.

Zwolnieni - 1953 r.

Głowa Ajm mi wiadomo było jak potoczą się dalsze nasze losy. Może któremu z nas uda się gdziekolwiek wyjechać, może nawet do kraju, ślub mógłby przeszkadzać. Zamiar urodzić się koło Tarnopola w ówczesnym ZSSR, po zwolnieniu dali mi paszport z ednotacją „paragraf 39 o paszportach” w momencie otrzymania paszport ten był bezwartościowy.

Ażby dojechać do województwa, do Magadanu, to tak samo mnie do „paszportu” potrzebna była przepustka jak mężowi do „wileńskiego biletu”.

Śmierć Stalina może „optakiwał” na wolności a ja w obozie, jeszcze miałam 3 miesiące ryzyki. Po śmierci Stalina amnestia była rishka niż po ukonieczeniu wojny. Już dość długo byłam na wolności, jak ~~zostały~~ dla przepustki wycofane posiadaczy

pasportów wycofano przepustki i tak
 z moim paszportem mogłam się legi-
 tymować na terenie całego ZSSR.

Zaczęliśmy myśleć o wyjeździe, ciężko
 to była decyzja. Z góry wiadome było
 że droga będzie daleka, trudna, a
 do tego niekierowniczo. Jak już wspo-
 minałam paszport był z odnotacją § 59,

to znaczyło, były niezliczone polityczne,
 obowiazujące ograniczenia, dla mnie
 w podróży dodatkowe utrudnienia.

Decyzja zapadła jechać do Moskwy
 w 46 r. umówiliśmy się z mężem,
 że do kraju razem pojedziemy i tym
 długo żyliśmy, teraz umowa była
 nieco inna. Jechać do Moskwy i będą się
 starać o wyjazd do Polski, co się uda
 zatać nieśrodomo? ~~Co~~ w Rosji nastę-
 pita odwrócić, ale na ile?

Jeżeli dadzą pozwolenie na wyjazd dla
 obojga, jedziemy razem, ja z dzieckami

ludzie 9

Jeden adres w Moskwie, to był wysoki mąż, oficer, trzykrotny bohater ZSSR z II wojny, z jego żoną byłem w obozie.

Drugi sądzony w latach trzydziestych, w obozie zastata go poprawa, niedzielił do specjalnego zarządzenia. Zwolniono w 46 roku, po śmierci Stalina dostał pozwolenie na powrót do rodziny, do Moskwy. Trzeci to był adres do rodziny, cioteczka jeszcze w obozie.

Do Moskwy dojechałam sama.

Tuż w drodze niedzielałam że wejście do Polskiej ambasady nie będzie łatwe. Moi towarzysze podróży, znajomi z Susumani, ludzie którzy w obozie odnieśli wiele lat, jak się dowiedzieli co ja mam zamiar zabrać, to wlas się im zjeżył. A gdy przedzielałam wprost, że decyduję się pojsi nawet na zieloną granicę, to

Wstyd się przyznać, ale zaczęli się mnie
bać

W Moskwie byłam 2-3 tygodnie, Wyko-
rzystałam wszystkie adresy, szukałam
informacji, jak, wejscie do ambasady
Polskiej. Były adresy, gdzie odbył^{był}am
krótką rozmowę i trzeba się było wycofać,
albo się bać, nie chcieli wogóle rozmowa-
riać, albo nie mieli warunków poroz-
mawiać, w jednym pokoju dwa trzy
pokolenia mieszkało.

Już wiedziałam że na wejscie do
ambasady muszę mieć przepust-
kę od prokuratora miasta Moskwy,
że mój pasport z odnotacją jest mi
dobry, że w Moskwie mogę być 45 dni
i muszę się zameldować na 101 km
od rejonów²skiego miasta. W Rosji lu-
dzie byli bardzo zastraszeni, przeciwni
polityczny to element najgorszy,
największy przestępca. Dobrze że mnie

wszysty mieli takie zdanie o nas. Na ko-
nymie nie odrzucało się, wolny - niezien,
pytali nie siedziałeś z nie siedziałeś?
to będzie siedzieć. Poza tym wolnych było
dardro mało, jak nie niezien, to były
niezien. Natomiast w Mosknie czułam się
człowiekiem tej kategorii.

Bardzo pomogli mi starsi ludzie, do
których miałam adres, skontaktowali
mnie z Panem X. Nie wiem kto to był,
człowiek po 50-ku, przydało mi się że
prawnik a może milicjant.
Obejrzał moje dokumenty, spytał
czy mam rodzinę i gdzie - mam w
Polsce, kogo mam w Rosji - nika-
go nawet z dalekich kwaterach. Zdzi-
wił się bardzo że ja w ogóle dostalam
paszport, bardzo mi radził, odrzucać
kogo kolwiek z rodziny, ażeby rodzina
występiła do władzy ZSSR o mój poz-
wót do domu, to będzie o wiele skuteczne -

niejako mi moje starania, z Polską kontakt nie jest równomierny. Nie radził mi, kresić się koło ambasady bo tam dużo tajników. Dowiedziałem się nie może mi pomóc ponieważ nie jestem zameldowana, nawet na 101-ym km. Coż mi da zameldowanie jeżeli nie dostanę pracy, gdzie i ktoś mnie zamelduje.

Postanowiłam pojechać do Tarnopola. Z Moskwy do Tarnopola to tylko dwa dni drogi, coż to jest naprzeciw już przebytej drogi. W Tarnopolu spotkałam wiele znajomych, spotkałam koleżankę szkolną, dzieci której skontaktowałam się z rodzicami. Dowiedziałam się że mieszkają w Sanoku, już tylko kilka godzin ^{drogi} z Tarnopola, ale dwie lita nas granica. W Tarnopolu byłam 10 dni, musiałam już pojechać, a żeby gościnnego domu, nie zanosić na

kłopoty (cstoniek II kategorii) Na zielonej
 granicy nie postam, potrafili mi
 wytłumaczyć że nie mam koras,
 poza tym jeszcze liczyłam na Gana'x
 w Moskwie. Ażeby podać kom na Kholmie
 Serbici niespochybianke w Garnopolu
 kupiłam kilka Polskich książek
 i pojechałam do Moskwy. Byłam
 znów około 3-ich tygodni. Do spotka-
 nia z Ganem w Moskwie nie dosiło.

Nie mogłam dłużej czekać, więc
 między kończyły się, zimno. Nadzie-
 ja na wyjazd do kraju skończyła
 się, musiałam pracować do śmierci.
 Z Moskwy do Buzhta Nakhodka miałam
 jechać planowo 6 dni, pociągkiem po-
 pieknym. Pociąg spóźnił się dwa
 dni. Statek odpłynął, na nastę-
 pny czekałam ~~na~~ w porcie 5 dni.
 Godziła moja jednak nie była da-
 powrot (!!) na Kodym.

remna. Już w styczniu 55 r. otrzyma-
liśmy list od obojga rodziców, razem
pisałi Sanoku. Po usilnych staraniach
moich rodziców już w lutym 55 r.
otrzymaliśmy cyzew, 22 października
otrzymaliśmy pozwolenie na wy-
jazd, 25 października wyruszyliśmy
w drogę, 4 grudnia ^{1955 r.} 1955 r. przyjecha-
liśmy do Sanoka do moich rodziców
ja swoim rodzicom dwa razy się
urodziłam. Pierwszy raz 4 grudnia
1924 r., drugi raz 4 grudnia 1955 r.
Joanna Węgrzynowska